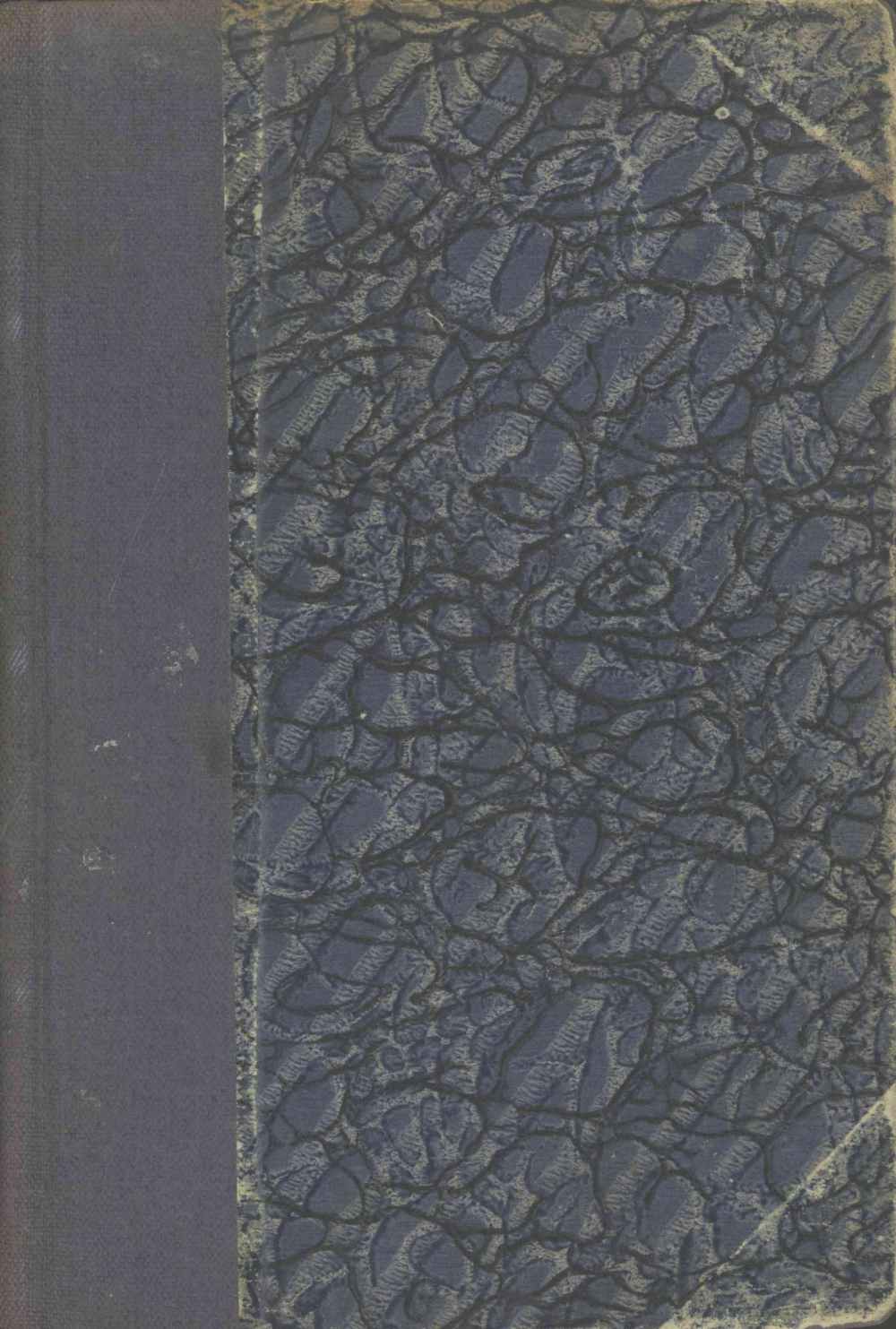




P 212

94 / 273

Z ŻYCIA NATURALISTY

KONRAD CHMIELEWSKI

Z ŻYCIA NATURALISTY

[MYŚLI I WSPOMNIENIA]

W GAJU. — WRÓBEL. — NOWY NAUCZYCIEL. —
CZTERDZIESTOWKA. — MORZE. — MISZA. — LU-
DZIE BEZ PASZPORTÓW. — Z ŻYCIA NATURALISTY.
..... PIEŚŃ JESIENNA.

~~Wyd. 1. 1914.~~

~~16 Ibr. 1646 Ł.~~



WARSZAWA — J. LISOWSKA.



884-311.2

74

Доз. Военной Цензурой.
Варшава, 7 Ноября 1914 г.



DRUK L. BILINSKIEGO I W. MASŁANKIEWICZA, WARSZAWA.

D.
26/6.46

Mojej drogiej żonie.

W G A J U.



iljowy zmierzch położył się na gęstwinie brzóz zadumanych i jął pieściwie gładzić strumienie zwisłych ku ziemi zielonych warkoczy, że drgały w blaskach dalekiej zorzy jeno listki najdrobniejsze. I cichość zmierzch uczynił słodką.

Uspokoił się zbytny wiatrek, przypadł gdzieś w sitowia nad stawem, przywarował jako ten psiak swawolny do powierzchni wody i — dusząc się od śmiechu figlarskiego — szumi sobie w oczeretach i trzcinach cichutko. Podniosły główki konwalijki leśne, majowniki, drżące kropelkami rosy perłowej, rozwarły się kwiatki czeremchy w utęsknieniu tchu pełnego, obudził wiew balsamiczny zmierzchu kwiaty jeżyny, poziomki i ukryte w gąszczach trzaski storczyki.

W pewnej minucie ciszy takiej zaczął śpiewać słowik.

Zaczął cichym, ledwie dosłyszalnym trylem, pofiuknął jakby wołał kogoś, czy coś z od dali lazuruwej, potem zaczął z uciechy czaru cmokać wesoło a dzwonne, słodkością jakąś

przepojony, wreszcie rozlał swą pieśń wezbraną kaskadą jakby śmiechu serdecznego o perlistej soczystości tonu, jakby metaliczną wibracją struny przez serce drgające a utęsknione przetrzaskanego.

Zacichło wszystko. Urwały nagle szczyty zięby i sikory, stanęły w pół gwizda zawadjackiego kosi, zadumały się raszki, pleszki i insza gaju kapela.

A echo wezbrane popłynęło w świata seledyny i szare oprzędy, jak odbita od brzegu modra, wzdęta samotna fala z odmetu. Zastębał się w swej pieśni sam słowik...

I znowu płynie pieśń miłosna leśnego trubadura, znowu rycerz błędny wiosennych czarów w cudny, złoty głos tenora śle tęsknotę w rozmodlone w ciszy przedwieczornej przetrzaska.

I znów płyną echa rozwiewne, drżące, niedośnione.

Wybiegła z lasu dziwna para: faun-koźlec i dryjada-boginka. On kucnął pod ogromnym wiązem i zaczął grać cicho na fletni, ona poczęła przed nim krążyć w jakimś tańcu zapomnianym, archaicznym, przeginając się ciałem w drygawkach lubieżnych i — jak kwiat w wietrze kołysany — słaniając się sennie w strony. Nikt w gaju nie wiedział i nie wyczuł, gdzie się kończyła pieśń słowika, a zaczynał

głos leśny fletni koźleca. Wszystkim się zdało, że był on tylko echem pieśni słowiczej.

A koźlec gra, — a śpiewa boginka wiosennie i słowikom:

„Pieśni ty moja — wiosenna pieśni —
 „Tyś jak żywota cudowna woda,
 „Wskrzeszasz pragnienie z zielonej pleśni,
 „Tyś zawsze świeża, tyś zawsze młoda. —
 „Lecz kto w twym nurcie wykąpie serce,
 „Tak biedny będzie — jak ptacy leśni,
 „Włóczęgą będzie w łez poniewierce
 „I żywot smutny serdecznie prześni“...

A słowik bierze w takt—forte wysokie cis mol: „Wie to las, wie to las — tu go, tu go, tu go. — Cha! Cha, Cha! fiuit, fiuit — las“.—

.

Hej! ja tam byłem w tym gaju... Miód uroku piłem, po brodzie mi ciekło lube rozmarzenie, a w uściech nic nie zostało oprócz złudy.

Dąb, stary Druid skamieniały i w próchna okruszający się, szeptał mi przez cały przedwieczerek wieść Kupalną o tem, że czas mu już spłonąć na stosie ofiarnym od ognia bożego i prochy połączyć z prochami, które w ziemi u stóp jego przed wiekami chowano.

O tem, że trzeba nowy ogień wykrzesać

letni w noc, gdy Łado z Kupałą zrośnie, aby dać początek nowego latka. O tem, że wiosna teraz już nie taka, jak to drzewiej bywało, Marzanna senna późno otwiera kwiaty, Żyvia ciągle odwraca twarz zasępioną.

O tem, że ziemia i świat starzeją, i ciężko i smutno wnuczce kochanej wiosnie hasać u dziadków — w ich szarym, gnuśnym domu. Gdzieś ty święty ogniu praducha?! Gdzie pieśń, co biła z ziemi w słońce i niebo potęgą, gdy on dąbek młodek, pełniący obowiązki laski u starego kapłana co wsadzony w ziemię mocną ręką puścił korzenie, rozwinął liście i zakwitł już w pierwszym roku, dla dania świadectwa prawdzie, dla stwierdzenia, że życie jest tylko jednym, nieprzerwanym cudem?... A rosnąć mu kazano na żalniku, bo był przeznaczon między drzewami na kapłana, na święte drzewo, na ludzki Dziw, co znaczy to samo, co Bóg. A przychodzili do niego ubodzy, bogaci, bohaterzy, ubóstwiani, ubóstwiający, aby potwierdzić swoje pokrewieństwo z Bogiem.

I była z jestestw roślinnych, zwierzęcych i ludzkich jedna rodzina, która gajem władała gminnie, która jedną pieśń poranną niosła o świcie na spotkanie zorzy, albowiem, jak to niebo w dzień po nocy, odradzać się musi ciągle w sobie aż do nieśmiertelności z duszy każdy gatunek, każda postać, każde najuboższe istnienie.

Takie jest prawo w gaju zapisane.

I jeszcze mówił mi Druid-dąb, (ale to już na samym końcu), że ludzie kiedyś do gaju wrócą, po święte z Nim przymierze, po nowe praw pisanych skrzyżale...

Wrócą, gdy im rozkopane gnatami wyschłych rąk i pieszczelami steranych nóg płasnie wyjałowionej do cna ziemi nic już dać nie będą mogły.

Wrócą, gdy walka o ziemię powrotną falą znowu na martwym stanie punkcie, bo ziemia musi należeć tylko do wybranych, do swych kochanków.

Wrócą, gdy przestaną dzwonić spękane, zeszczerbione dzwony rozsypujących się starych dzwonnicy bez kościołów.

Wrócą... o wrócą!

O jakże ty mój gaju cudny, zielony będziesz wtedy wyglądał?! Sadzić Cię będą złowłose dziewczeczki na uroczyskach bojów o prawdę, wolność i miłowanie wszechludzkie, podlewać cię będą stuletnie starce i pieśń Ci nucić zgrzybiałą z żalników, barykad,— pieścić i pielęgnować Cię będą matki, którym synów za dążenie za Chrystusem ukrzyżowano i imię ich w imię Chrystusa wyklęto. Wyrośniesz gaju mój jasny, zielony z łez ludzkich i śmiechów nadludzkiej ekstazy, jako ta rzeżuchna wątła, jako ta ruń modra niebieskich na ziemi zaczynów. A drzew i krzewów życia jakąż

w tobie rozmaitość!... Będzie znów rósł swobodnie wawrzyn dziki dla wieńczenia tych, których złotem, słowem, kadzidłem nagrodzić nie można, będzie pleniła się bujnie, jak dryjada, jaka zacnego rodu oliwek przedstawicielka kosmopolityczna dla służenia zgodzie i jednaniom twórczym, będzie krzewił się górnie dąb-kapłan i pachnęła miodem lipa, boża służka, a my, „my w tę chwały godzinę, sadząc drzewo wolności, posadзим olszynę“, nam na uroczysko święte, Tobie, słowiczku, na schronienie i przytułek.

A gdzieś tam na polance, w gaju, w miejscu, na którym drzewa święte tylko cienie swe fijołkowe od majowego słońca kładą, będzie stał ołtarz wśród kwiatów pachnących, ten sam ołtarz, na którym składali ofiarę kapłani w przedświcie ludzkich dziejów.

Ten znicz i pylon w jednej bryle kamienia czarnego o kształcie ludzkiej głowy.

I w pogodne ranki wiosenne przychodzić tu będą długie szeregi ofiarników, aby na młodym, jasnym ogniu palić własne twory i utwory.

„Vermibus ereptum puro consumitur igni“... głosić będzie hymn uroczysty, bo tu będzie krematorium niedościgłych marzeń, nieziszczonych idei, przeczulonych wcieleń i umarłych nadziei.

Krematorium pogodne i dobrotliwe, bo odwrotną dróżką od ołtarza kroczyć będą lu-

dzie uspokojeni i pogodni, do pieśni świętego gaju. A słowik będzie fiukał i cmokał i mla-skał tak jak ongi: „Wie to las, wie to las, tu go, tu go, tu go. Cha! Cha! Cha! Cha! fiuit, fiuit, las“!...

Tak mówił dąb-Druid spróchniały. A brzoza płaczka roztoczyła do ziemi strumienie war-koczy i uczyniła z nich jakby harfę wielostrunną, na której wiatrek zbytny grać począł pieśń kupalną:

„Już czas dla ludzkich kras
nieść żagiew zuchwałą!
Hej w las! Kupało!“ —

Gdy ludzie znów do gaju i jego ołtarzy wróca, zakwitnie kwiat paproci skrytoślubnej, zakwitnie, jako ten rozmaryn, jak kwiat dzikiej, wonnej cytryny jawnie, uroczyście, okazale, albowiem nastąpią prawne, utęsknione gody wolności z życiem. Nikt w gaju przecie nie będzie mógł czynić nakazu krwi, związania chęci i chuci najserdeczniejszych, nikt nie będzie pętał i kował tej siły, która wlana we krwi i koście nasze, daje nam mocarność z ducha, szaleństwo zachwyty i potęgę pożądania, przez które tylko można tworzyć rzeczy wielkie i, zaiste, piękne.

Któż zaprzeczy paproci wołać w gąszczu czarodziejskie na siew miłości wszystko, co

czuje i żywie, w noc taką, gdy słońko zaślubia nockę miesięczną, wędrującą w orszaku druzek, gwiazd, w rozemglonych gazach błękitu?...

Któż zaprzeczy wołać oto w takim gaju, gdzie są zamknięte prawa człowiecze do swego mózgu, sumienia i serca?... I jako te pliszki ogonkomerdne, jak sikorki łyskotliwe, jak rozfiukane raszki, pytać będą o prawa ukochania rozkoszami gaju wyczulone dusze ludzkie.

Słowik nie zna się na tym, co jest w jego śpiewie przyzwoite, a co nie przyzwoite, gdyż śpiewa tylko prawdę gaju i swoją. Prawda nie może być nieprzyzwoita, a ci, co przed nią zakrywają rączkami zawstydzone oczy, urodzeni są w grzechu i przeznaczeni na byt w sromocie.

Witam Cię, paproci drobnolistna, witam Cię stary odwieczny tęsknot ludzkości antykwarzu!

Schowano w twoim cieniu pod ziemią stare klechdy o szczęściu, które jest jako te próchno świejące w nocie ciemne, podania o skarbach, któremi jest wypełnione zawsze i wszędzie łono ziemi-matki, ballady o spełnionych tęsknotach, których żaden ich posiadacz właściwie nazwać nie umie, schowano w twoim cieniu prastare legendy o twym gaju, o jego pochodzeniu i przeznaczeniu. On ci jest wnuk mistycznych gajów zarania świata, w których się rodziły pierwsze gatunki istot żywych, on

ci jest potomek raju biblijnego i gajów boskich Grecyi prawy następca, a resztek przemian na ziemi chroniciel i stróż wierny.

Ty wiesz o tym paproci do ziemi przytulona, słuchająca z niej wieść przedziwną przymierza z bardzo dawnymi laty, i szepcesz przeto słowa Fausta: „tak rozum Wasz do gwiazd rzekomo sięga, lecz przeszłość jest to tajemnicy księga, na siedem zwarta pieczęci“.

Mądrości przedwieczna, kto pojął cię rano, wieczorem już ma moc spokojnego umierania; wszak największą i najpotrzebniejszą prawdą jest tajemnica grobu i mogiły, czyż bez niej możliwa by była droga do mądrości życia, czy mogła by istnieć filozofja—przyjaciółka mędrców, gdyby nie było wątpliwości?...

Ty wiesz o tym paproci, skrywająca pod sobą próchno, żmije i jady trupie, a pastorały skulonych, świeżych liści prostująca ku rosom rannym.

Zdaje się, że ma się ku świtaniu, bo jakieś wzruszenie głębokie, niewypowiedziane ogarnia zastępy drzew, pośpionych w macie nieprzejrzanym. Zaczynają się one przedemną prostować wśród cieniów w jakimś odruchu nagłego uczucia, które na nich kładzie budzące się daleko, gdzieś bardzo daleko nikłe, prawie że mistyczne światło przedrania. Mgły się poczęły kłaść nisko, przytulać do ziemi, przypadać do podściółki traw leśnych i łąkowych;



jako te dusze upokorzone, czy znużone. Noc, lazurowa pani uchodzi powoli, uroczyście, majestatycznie, — blademi rękami gasi ostatnie gwiazdy na zachodzie nieba, rozpuściła swe szaty faldziste fioletem cieniów na pola omglone; — rozwiała muśliny i gazy około swej głowy w prężnych poświatach.

Czuć jej zapach jeszcze, subtelny lecz mocny, perfumę wielkiej pani, niosącą omdlenia senne, ambre zapomnienia.

Zbudził się las daleki, odetchnął silniej balsamicznym wiewem żywicy i igliwia zwilgłego, ziewnął tchnieniem smolnych wzdechów i zaszeptał pacierz poranny szumem jakimś wewnętrznym, przytającym, bezwietrznym. Od wód i stawów na łąkach poślepłych w noc, jako te zemglone oczy, powiało świeżością i zdrowiem. Gdzieś się daleko, w gąszczach zbudził jakiś ptak i począł nagle w ciszy przednia rozwodzić się w naiwnych poszczebiotkach nad koniecznością wstawania, zabrania się do pracy i tym podobnymi szczegółami lekkomyślnego życia.

Wstają zorze. Zapalają się długo, długo, powoli jak widma nieskończenie dalekich, tajemniczych pożarów na krawędzi nieba i chmur, przechodzą zwolna na ziemię i gasną martwe na szczytach drzew, zaczarowane cichością ranka jak śpiący rycerze. Gaj, się budzi, mgłami z łąk srebnymi przeciera oczy modre, przeciąga

się delikatnymi ruchami rozwieśnych koron drzewnych, strząsa grochy pereł rosy z włosów i wznosi ku zorzom pobladłą ze snu twarz leśnego gnoma. Roześmiało mi się serce serdecznym, dobrym śmiechem życia, który mi poddał obertasek-skowronek. Bywaj gaju zielony — o gaju mój serdeczny...



WRÓBEL.



Pawłowi Gawlikowi pozostał jeszcze tylko jeden przyjaciel.

Jest nim mały, szary, wiecznie nastroszony i wyczochrany w śmieciach wróbelek o bardzo zadzierzystej postaci, lecz i o parze zato nadzwyczaj figlarnych, perełkowatych czarnych oczu. Siada on na gzymsie przed jego oknem. już od wczesnego ranka i, podnosząc swój cieniutki głosik do nuty rozkazu, raz po raz woła: „Świt, świt, świt, śpij, boś syt!“ Nie ma rady, trzeba wstawać, otulić czemkolwiek kaszlące, roztęsknione wdechem innego świata piersi i wysypać małemu za oknem co z resztek wczorajszego jadła.

Czasem wchodzi wtedy w klatkę zamkniętą, pudłowątą murów i krat za oknem więziennem poranna zorza czerwona gdzieś dalekiego za Wisłą świtanka, co wstaje senny pewno z lasów i mgieł wiszarów błękitnych; czasem wietrzyk przyleci rzeźki, chybki, rozwydrzony, wróbla naczupurzy, Pawła w usta i oczy uderzy znagła wiewem twardym, zimnym, jak stal; czasem ... zleci wtedy taka prze-

bolesna, choć przejasna młoda tęsknota do życia i światła.

Powierza ją Paweł wróblowi, bo już nie ma komu, on zaś, zjadłszy śniadanie, postawi wszystkie piórka na jeża, zasępi się okrutnie, skuli w gomółkę, główkę oprze na własnych łopatkach, a piersi na łapkach, i tak czuwa przez czas dłuższy przed oknem, przekrzywiając główkę to na prawo, to na lewo i mierząc migotliwym zapytaniem oczu perełek swego żywiciela. Czasami cichuteńko poćwierknie mu tylko: „Cierp, cierp, cierp!“ Paweł, przytuliwszy twarz do szyby, oddycha ciężko, kaszle i spowiednym szeptem coś opowiada wróbelkowi długo, długo. Czasem zrywają mu się skądś, z jakichś zapadłych głębin wewnętrznych, rozbolałych okrutnie, jakby je na pal nadziewano, jakieś jęki i skamłania rozpaczne, jak zaduszne żebracze dzwonów połkiwania, czasem płynie mu z ust jakaś opowieść czarodziejska, rytmiczna, dzwoniąca akordy harfianymi i pieśnianą rozkoszą, czasem zwiotczałe i wyblakłe na kolor cyny usta miamlą śmiesznie niemowlęce czułości i wyrazy jakieś pieśzotliwe, poślinione i wypieszczane łzami dziecinnego rozszlochania.

Bywa jednak, że z zaciętej wściekłym skurczem obłędnego bólu gęby cyka Paweł przez zębce cięte, straszne nienawiścią krzywdną przekleństwa, jadowego mątu w wąpiach pomści-

we pokrzyki i wołania rozpaczne, przetęsknione łkania niemocy i gwałtu ducha omdłego. Wróbelek wszystkiego wysłucha i „cierp-cierp“ odpowie.

Tak im w dwugłosie wylewności sentencjonalnej, którą indziej na świecie egzaltowani nazywają przyjaźnią, zesła i wiosna parna wilgotną chucią życia i marząca, i lato znojne, duszne, gorące, oddechem kurzu i żaru w twarz więźnia dychające, jak z pieca Danielowego. Zresztą to był tylko ogólny wiew tego, co się działo wogóle na świecie wolnym wolności i powietrza, o czym mówiło Pawłowi przytulenie do krat i okna, szczegóły życia przynosił mu i komunikował Wróbelek. Przyjaciół ten było to jakieś indywiduum zaiste całkiem nie tylko niepodzielne, ale i niepodzielające zupełnie czuć ogólnych przyrodzonych. Przedewszystkiem tak pozycja jego socjalna, jak i stosunki rodzinne wraz z parantelami towarzyskimi były otoczone najzupełniejszą ciemnością, nie zdradził on się w żadnym przypadku przed Pawłem z posiadania domu, ogniska i pieleszy sentymentu rodzinnego, żony, wreszcie i dziatwy, które, oczywiście, powinien był by do jadłodajnego Sezamu przyprowadzić, o ile by je posiadał w sposób psychologicznie sprawdzalny, czy meldunkowy. Był to więc raczej jakiś odludek (właściwiej odlotnik), stary kawaler, czy też może impresjonista życia, omi-

jający delikatnie wszelkie dodatkowe komplikacje myśli zasadniczej krajobrazu.

Uspokojenie jego nie zdradzało najmniejszej zdolności do reagowania fizjologicznego na nastroje i zaczynały twórcze słońca letniego wszystko żywiącego. Chociaż jednak o tem, co się działo nazewnątrz zamkniętego pudła murów przed oknem Pawła, umiał mu opowiadać drobiazgowo a wrażliwie całą bajecznie ruchliwą i tętniącą życiem gamą swego powierkiwania na gzymsie okiennym. Gdy przyszły podmuchy wiosny, opowiadał coś zgiełkliwie, jakby kto wytrząsał w garści kilka kawałków szkła, prędko, z zamieraniem tchu na wyższych nutach, zrywając się na niższych jak śpiewak nagłą chrypą zdjęty, przyczem niektóre zwrotki czy ritournele (jak np. ta „Więś, więś, więś, wiosenkowa wiosna więś!“), rozdzwaniały mu się w bezpretensjonalnej pieśni, czy też wyrwasie mazurskim szarego gardziółka w ekstazę złotego zorzanka nad orosiałymi strzechami pośpionej w zmierzchach nocy wiosennej wioski polskiej. Inny był świergot jego w smugach pyłków mieniących się w promieniach słońca w ranki letnie, gdy wytarżany w kurzu przychodził opowiadać wolniej jakieś rozumowane opowieści wrażeń z przesłonecznionego i przebarwionego świata, do którego biedny Paweł tak tęsknił chorobliwie, może niepotrzebnie zupełnie według zdania

imci wróbelkowego—kto to wie?... Trwali wtedy przed sobą w zadumie jeden i drugi długo, dłużej, niż zwykle, a gdyby kto dobry tak ich wtedy zaszedł niechcący, toby może pomyślał, że ptak mały odwoływał, czy też odczyniał w więźniu obłąkanie, gdyż w takie chwile tylko uspokajał się podrażniony nadmiernie i nie bardzo już przytomny dla rzeczywistości Paweł.

Pod jesień jednak, gdy powiało chłodem i wiewem tegim od Wisły, zaczął się on jakoś uspokajać czy rezygnować, wróbel zaś przeciwnie smutnieć, milknąć i skulać się w odruchu jakimś przeczuciowym.

Wizyty jego stały się rzadsze, czasami po dni kilka nie zjawiał się wcale na gzymsie. Jadł obojętnie, gwarzył ospale z nudą i z niechęcią.

Pewnego ranka, a było to już wtedy, gdy szron srebrny wygrawerował na mat platerowej blachy na gzymsach i słońce ranne później się czerwieniło, Paweł obficie niż zwykle wyrzucił okruchów chleba i bułki za ramę okienną na przyjęcie codziennego przyjaciela. Ten przyleciał wkrótce, ale jakiś zafrasowany, skołtuniony, przybity, do jadał się nie brał, nie gaworzył, wreszcie porwał się nagle z miejsca, jakby go coś kolnęło z dołu i poszedł na lotkach w górę — w świat.

Po niejakej chwili przyciągnął zadumane-go Pawła do okna liczny i głośny świergot wróbli. Okazało się, że wróbel sprowadził do

jadła całą gromadę szarych towarzyszków i współbraci, którzy z namiętym wrzaskiem, gwałtem, popychaniem się i tłuczeniem po czubach zabrali się do zaspokojenia głodu. Paweł z nerwową ciekawością przyglądał się czeredzie, jak wydzierała sobie nawet z dziobów kawałki chleba suchego, jak się potracano i bito dziobami i skrzydłami przy zbieraniu okruchów, jak w tej walce zwyciężało lepsze przystosowanie do życia, w mięśniach, kościach i zaciętości bojowej, jak w pogardę poszedł od razu sentyment rodu, gatunku i rodziny, gdy się przed kwestją równouprawnienia zjawilo koryto z żerem, jak życie dopiero w walce zagrzmiało szczerą, właściwą nutą, siły i temperamentu.

Najgorzej na tem wszystkim wychodził przy tym ten, co braci wskazał jadło. Niez szczęśliwym trafem znalazł się on przewodniczo w środku gromady, która go już najwidoczniej uważać raczyła za zupełnie zbytecznego społecznie w danem miejscu. Oberwał więc zaraz z miejsca do krwi czerwonej stuknięcie w łeb od jakiegoś osiwiąłego już w bojach o chleb śmieciarza, a przy usuwaniu się ku brzegom koła wygłodzonej gromady dodano mu do głównej oceny jeszcze parę również bolesnych aplikacji i treściwych apostrof po karaku, głowie i bokach, tak, że gdy naiwny jałdowskasz znalazł się poza sferą działalności

temperamentów towarzyskich swych braci, rzeczywiście wyglądał jak inwalida ostatniego gatunku.

Podbito mu oko, rozkrwawiono głowę i łapkę, nawydzierano pierza z doczesnej powłoki ducha i ten jedyny przyjaciel Pawła w takiej urągającej weselom żywota postaci siedział półżywy, półmartwy na murku, gdy najedzona gromada z rozgłosnem ćwierkaniem poderwała się i uleciała do dalszych swych losów na świecie białym.

Szaro było i smutno, z czerwienią nieba zgasło nawet płkanie, co jest rozwarciem, ścięzajem wrótni kumie—osmętnicy.

Paweł przyciśnięty do muru, z twarzą u kraty, ustami sinemi jak ołów coś szeptał wróbelkowi gorąco, modlitewnie, a ten mu ledwie dosłyszalnym głosem odpowiadał swoje zwykłe „cierp, cierp, cierp“.

W kilka dni potem Pawła dla dalszego śledztwa przewieziono do Tworek. I nie byłoby polskiej klechdy prawdziwie w tem, cośmy z żywotów opowiedzieli, gdybyśmy zapomnieli dodać, że w tę noc listopadową obleśną, głuchą, kiedy Pawła wywożono z celi, na gzymsie za oknem, w które uporczywie zezował przy ubieraniu więźni, siedziało coś nie-toperzowego, szarego, tajemniczego...

Może to była Śmierć, może Noc, a może pieśń wróbelkowa?

NOWY NAUCZYCIEL.



A klasie zapanowała nagle cisza, gdyż dyżurujący przy drzwiach oszklonych na korytarz kolega, o ruchach nadzwyczaj ekscentrycznych i dlatego przerwany centryfugą, zwiastował gwałtownie: „Dyrek idzie!”

Więc Popiołek zafundował ostatnie kopnięcie Pudłowi, kolega Chrzan szybko wrzucił w piec jakieś gazety, zwrócono z pośpiechem zdjęty z nogi i puszczony w pocztę po klasie kamasz kolegi Flegmatyka i ledwie zdążono uplacować kształty na ławkach w pozach obojętnego na wszystko majestatu, gdy szybkim krokiem wszedł do klasy okazały mężczyzna z wielką jasną brodą, we fraku mundurowym, z gwiazdą na piersiach, a za nim mały, niepozorny skulony człowieczyna, również w mundurze.

— Mam honor przedstawić Wam, panowie, Waszego nowego nauczyciela łaciny, Lucjana Adolfowicza Posepno! — wydekłamał, szeroko rozstawiając nogi, podobnie jak i słowa okazały, gwiazdzisty dyrektor, „proszę go lubić i „żałować!”

W tem miejscu wykwintnym ruchem, odstąpiwszy nieco na bok, wskazał na niepołączoną figurkę nauczyciela, który, wysoko pod pachą trzymając dziennik klasowy, stał w jakimś dziwnym wzruszeniu, czy zakłopotaniu, z oczami spuszczone do ziemi. Dyrektor w namaszczonej urzędowym patosem słowach wypowiedział w dalszym ciągu słowo dyrektorskiej pochwały na grób poprzednika pana Pośepno (zmarł on podobno na wodę w płucach, wdzięczni uczniowie twierdzili, że miał ją w głowie), przypomniał o obowiązkach wdzięczności względem wielkiej ojczyzny i szkoły za to wysokie wykształcenie duchowe, jakie uczniowie... skiego gimnazjum w jego murach (wilgotnych i opleśniałych) ku zbudowaniu nieczulej Europy otrzymują, wreszcie, uroczyste podawszy przednią zaniedbaną kończynę ciągle zafrasowanemu belfrowi, zapewne dla dodania mu otuchy w jego przyszłej działalności wychowawczej, szeroko okraczając nogami niewidzialne na podłodze przeszkody, wyniósł swoją cyrkumferencję z klasy.

Nowy nauczyciel rozłożył dziennik, usiadł, ządał pióra i gdy wyciągnął po nie rękę do uczniów z pierwszej ławki, stało się jasnym jak słońce, nawet dla uczniów ostatniej ławki, że posiadał na tej ręce wszystkiego trzy palce. Garb na plecach, embryonalna łysina i bro-

dawka na nosie już przedtem zostały zarejestrowane.

Rozpoczęło się, ponieważ była ta pierwsza lekcja tego dnia, odczytywanie listy obecnych. Tu zaraz przy drugim nazwisku znowu nowalijka. Wymawiając rodowe nomen rycerskie kolegi Bajduszewskiego, nowy nauczyciel na tym „baj” zaciągnął się niemożliwie, wyciągając jęklonie „a” jak na kamertonie i rozwierając przy tym tak śmiesznie i niezgrabnie szerokie, bezzębne usta, że w klasie parsknął śmiech, jakby kto strzepnął perkalem.

O anarchiczna bombo młodego śmiechu, przed Tobą nie ostoi się nawet majestat faraonów i sfinksów, zamknięty w próchna tysiącoleci, a cóż dopiero mizerna postać Lucjana Adolfowicza Pośepno! Przez pewien czas po wybuchu śmiechu trwało deprimujące, tak zwane głupie milczenie, w czasie którego nowy nauczyciel miał oczy spuszczone rozpacznie na listę i bladł coraz bardziej. Podniósł się wreszcie zmieniony, jakiś bolesny skurcz wykrzywił mu szczękę, co go jeszcze śmieszniejszym i brzydszym czyniło, niepewnymi krokami podszedł do ławek i przyciszonym i przerywanym od wzruszenia głosem, pocichu jak w konspiracji, zaczął mówić do klasy po polsku:

— Kochani... dwa-a-dzieścia lat ja służył w Rosyi, daleko nad Wołgą, dwa-a-dzieścia lat ja tęsknił do ziemi, do Was, marzył jak

o śnie zaczarowanym, żeby mógł Was, swoje dzieci uczyć, a wy mnie tak przywitali—a? Za co tak, kochani?... Ta uroda moja nikczemna tak Wam przeszkodziła zobaczyć człowieka, ale nie bójcie się, ja go Wam pokazać potrafię, żeby Wy mnie poznali. Niech Wam Bóg przebaczy.

W klasę uderzyła momentalnie cisza. Galwaniczny prąd drżącego od wielkiego wzruszenia głosu nowego nauczyciela ściał wszystkie wyrazy uśmiechu i pustoty w półtackie, półtonie. Magiczne brzmienie języka ojczystego, wzbronionego zajadle w tej szkole, jak niedośniony dźwięk z za świata, rozeszło się w dalsze. Zdawało się, jak gdyby w klasie Belarminowych i Iłowajskich dźwięknęła nagle z trumienki, czy z pudła schowana tam na przepadle harfa Derwidowa. Raptem, z którejś tam ławki wyskoczył przystojny, rzeźki blondynek, o pięknych, ciemnych marzących oczach, podbiegł szybkim krokiem do nauczyciela, i schwyciwszy go za rękę o trzech palcach, zanim ten zdążył zorjentować się, o co chodzi, przycisnął ją gwałtownym ruchem do ust.

Oczywiście właściwy wykład łaciny rozpoczął się nieprędko, trwały tam jakieś przyciszone rozmowy w „narzeczu“ niedozwolonem, które inspicjował stojący przy drzwiach oszklonych Centryfuga, zachęcający zgromadzenie do

nich w sposób ogromnie stanowczy i otwarty: „Sypać! — niema nikogo!“

Przedstawiano się sobie po cichutku, w sposób taki, jak to czynią dzieci, schodzące się do zabawy na cudze podwórko, mówiono przez łyzy i śmiech o rzeczach tak tragicznych, jakim ludy i narody kiedyś wierzyć nie będą chciały. Uspołeczniono, uświadomiono i ustosunkowano się piorunem, w mgnieniu oka tak, jak gdyby ułomny nauczyciel wlaź w swoich olbrzymich, zabłoconych kamaszach odrazu do samego środka rozdzwonionej przypadkowym trąceniem duszy młodzieńczej.

Odtąd zaczęła się owa legenda symbiozy, z której przez dłuższy czas nie mógł sobie zdać sprawy, ani gwiazdzisty dyrektor, ani gospodarz klasy, mający tylko jedno oko, ale za to bardzo czujne, doskonale dopasowane wyrazem, jak to zauważył kolega Pudel, do drugiego porcelanowego, chociaż to drugie, zapewne przez pomyłkę optyka, było tak zwane oko bydlęce. Nowy nauczyciel miał taki posłuch i taką cizę w klasie, o jakiej nie marzyli nawet w snach popiwnych najwięksi pogromcy, ujarzmiciele klas wyższych, między którymi celebrował pewien litwak, filolog, przesławny denucjant wszystkich i wszystkiego, niebezpieczny nawet dla samego dyrektora.

Posepno pracował zajadle, kształcił w łacinie klasę niezmordowanie, przemawiał odtąd

w klasie tylko oficjalnie w języku urzędowym, stawiał nawet gęsto dwójki za lenistwo, klasa go uwielbiała, siedziała jak trusie i wyczekiwała na wszelkie naddatki i „wrzuty“ między wierszami, które stały się jej chlebem błogosławionym. Tak na przykład kolega Węgiełek miał dramatyczne zajście z jednym z wychowawców klas niższych, który do ucznia pozostającego pod więcej egzotycznym, co prawda, niż doświadczonym korepetytorskim jego nadzorem, w chwili niesłusznego uniesienia zaaplikował nietyle cięte, co dosadne w obelżywości i plwocinie określenie narodowościowe. Węgiełek, mający i tak już kupę napiętych opinii w radzie pedagogicznej, bardzo słabą nadzieję pozyskania prawomyślności państwowej, przy zupełnym braku nadziei patentu gimnazjalnego, był nastrojony nadzwyczaj Kordjanowo, zaszczerpał sobie uporczywie rozmaite tragiczne pomysły i trwał w mocnem postanowieniu efektownego zakończenia sprawy i kariery. Posępno jednak rozwiął te wszystkie nastroje jednym wzruszeniem ramion, cyknięciem przez zęby „niewarto“, lecz za to dopomógł Węgiełkowi do przeniesienia się do innej „sztuby“ prowincjonalnej, którą ten, przy pomocy jakiegoś dobrego rosjanina, kolegi garbuska, skończył potem pomyślnie.

Kolega Furdasiński, najniewinniejsza w świecie dusza, przezwany w klasie Sromotnikiem,

tylko dla dziwnego kształtu zgiętej, chudej postaci o wielkiej jajowatej głowie, przypominającej pewien grzyb leśny tego nazwiska, uległ właśnie z tego powodu pewnym komplikacjom stosunków z prefektem szkolnym, posadzającym go jednocześnie i o socjalizm i o grzech sodomski, zwłaszcza, że Sromotnik rzadko bywał w kościele i to zawsze jaknajkrócej. Dzięki garbatemu nauczycielowi łaciny stosunek ten został najzupełniej ku dobrej sławie posadzonego wyklarowany, i prefekt w wielkiej cichości i pod sekretem zwolnił moralnie Furdasińskiego od bywania na szkolnych nabożeństwach niedzielnych, ponieważ ten w niedziele kształcił jakiegoś małego żebraka i odrabiał lekcje z cudzych książek na cały tydzień, gdyż w dniu powszednie miewał po pięć godzin dziennie, „morowych“ tanich korepetycji, aby nie zdechnąć z głodu i zbyt świeżego powietrza.

Do klasy przez pokraczną jednostkę ludzką wniesiona została pewna tonacja kultu. Słabi filologowie zaczęli tłumaczyć w domu „dla siebie“ Horacego i Anakreonta, poszukując na gwałt rytmów i końcówek; udatniejszymi tłumaczeniami chwalono się w klasie przed nauczycielem, który te próbki oceniał ściśle i spokojnie, bez uniesień. Zaczęto się powoli rozsmakowywać w pięknie klasycznym, które przedtem podawane było ordynarnie, w sosie

tatarskim. Nagwałt nagle rzucono się do historii i literatury ojczystej i dziejów dla wyrobienia sobie stylu (sic!), gdy przedtem młodzi pozytywiści tonęli tęsknotami w tandetnych wademekach wszechwiedzy przyrodniczej i broszurach społeczno-agitacyjnych, szumnych w tytułach, a mętnych w treści. Najważniejszym jednak momentem tego spółyżycia był zwrot ku przyrodzie przez lekcje łaciny.

Zaczął się on od tego momentu, gdy uczuciowo rozciekawiona młodzież zaczęła poznawać swego nowego nauczyciela w sposób najzupełniej detektywny. Dowiedziano się, że ma starego, brzydkiego, szarego Pudła wołaniem „Kaktus“ i również starą służącą, czy gospodynią, panią Judejkową, że jednym z najglówniejszych sprzętów w mieszkaniu ubogiem nauczyciela łaciny jest cenna, duża kolekcja motyli z całego niemal świata i kilka siatek, że niczem niemożna zrobić takiej przyjemności panu prof. Posepnie, jak przyniesieniem mu z wycieczki, czy ze spaceru jakiego okazu łaskoskrzydłych owadów. Nie był on jednak zasuszonym w naftalinie zbieraczem tylko *coûte que coûte*, owym mańjakiem kolekcjonerstwa, który jednakowym intelektem obdarza marki, guziki, czy owady i uważa to sobie za szczyt doskonałości; przeciwnie Posepno traktował motyle z punktu widzenia ogólniejszego, pieścił się z ich barwami, kształtami

i rysunkami mistycznymi skrzydeł jako z wyrazem piękna, od którego przez życie musiał zawsze tak stać daleko. Uwielbiał ten filolog ekstatycznie przyrodę i głębsze serdeczniejsze, niewzgardzające uczuciem przyrodoznawstwo, zawsze zwracał swoim chłopcom uwagę, że ono stanowi tylko właściwie wiedzę ludzką, że w nim należy szukać bezpośrednio wszelkich genez i rodowodów naszych zachwyty, czarów i uniesień. Cała gromada młodych tęsknot młodzieńczych do życia i jego zagadek za jego pocziwem nawróceniem przerzuciła się od skrajnej socjomańji do studjowania książek przyrodniczych i do studjowania literatury ojczystej. Dziwnie bo piękną umiał z filologii i przyrodoznawstwa rozumowego uczynić syntezę, czy potrawę ten garbaty belferzyna.

Tęsknoty wieszczą do „pagórków leśnych i łąk zielonych“ rozkwiecały mu się w ustach amarantem cielistym „dziecieliny“, żółcią świeżopu w jakiejś bardzo serdecznej i ciepłej analizie tych znaczników krajobrazu nadniemieńskiego. Jego uczniom niewolno było nieznac jemioly, bo o niej pisze Horacy, nie znać tego wszystkiego, czem dyszy, krzewi się, barwi, śpiewa i dzwoni pan Tadeusz; nie wolno było nie uwielbiać jaskółek, które za nóżki powięzają za ludem polskim Słowacki i położył na głowice Goplany, niewolno było zdradzać obojętności dla „różopalcej jutrzeźki“ Homera, bo ona

jest piastunką prometeizmu człowieczego, ale w tem „niewolno“ nie było nic z dyktatury twardej szkoły, przeciwnie był jakiś słodki mus noblessy kulturalnej, którą kochać i czcić kazał pan prof. Posępno.

Uczniowie, którzy niedawno rozkoszowali się tylko specyfikacją praw i krzywd stanów i kast, zwróceniu nagle ku poznaniu praw przyrodzonych człowieka, a głównie praw przyrody i ewolucji życia, zaczęli mięknąć w giestach i wojowniczych odruchach, łagodnieć w traktowaniu praw i zjawisk, zaczęli cenić doświadczenie osobiste.

Kapitałne wprost w swojej budowie ironie i sarkazmy niegryzące, które miotał Posępno ponad głowami swych „chłopaków“ rzekomo na łeb Kaktusa, notowane były jako kronika życia. Wszelkie naprzykład wzburzenia patriotyczne znajdowały komendę uciszenia w słowach „leżeć Kaktus!“ lub też „Kaktus! przestań, kochanie, szukać drobnych w twoich kłakach!“, ignorancję w sprawach historii lub literatury odsyłał Posępno do korekty do pani Judejkowej, która od „króla Kopernika“ wiodła indygenat swego rodu.

Oczywiście rozmowy tego rodzaju odbywały się nietylko w klasie, ale i w domu nauczyciela, przez okrągłą dobę otwartym dla jego wychowanców. Można się było u profesora nasłuchać dobrych słów, nabawić z Kaktusem,

psem mądrym jak dobry człowiek, dostać czasem wysmienitej kawy „litewskiej“ od pani Judejkowej, pożyczyć książkę do czytania, napiścić oczy kolekcjami owadziemi profesora i być nagle, piorunem, bez obrzędów wylanym z mieszkania, gdy na gospodarza napadała „chandra“. Zdarzało się to rzadko, zwykle po wszelkich większych bataljach w szkole ze sferą urzędniczą, bo Posępno mocny, mądry i łagodny był tylko w stosunkach z chłopcami, w życiu zaś jako szczerzy poeta i uczuciowiec popełniał błędy taktyczne i stał sam jeden na swojej placówce dostojnej, nie łącząc się wcale nawet z innymi polakami nauczycielami.

Posępno zagarnął chłopcom nie tyle dusze, co serca i imaginację i—to mu wcale na dobre nie wyszło, gdyż chłopcy go zaczęli, mimowoli rzecz prosta, zdradzać. Nazwisko nauczyciela lub jego przydomki (On-Luc-Majmonides) nie schodziły im ni z ust, ni z myśli, a podsłuchiwały tego uszy sowie i nietoperzowe denuncjantów, podpatrywały oczy różnej przemyślności życiowej, nietyle porcelanowe, co żbiczę, które to wszystko znosiły potem do jednego imienia i koryta, zdrady stanu.

Wytoczono przeciwko Posępnemu baterję szybkostrzelną donosów i władza wyższa jednym pociągnięciem pióra, jednego pięknego poranka przeniosła go dla dobra sprawy państwa na miejsce niższe do progimnazjum w obskur-

nej żydowskiej mieścinie. Cała więc idylla trwała niespełna półtora roku, lecz jakże różnem było pożegnanie od przywitania! Ostatnia lekcya łaciny przypomniła lekcję alzackiego nauczyciela po podpisaniu pokoju z prusami.

Cisza była w klasie pogrzebowa, to też ostatnie „żegnajcie chłopcy!“ zadzwoniło jak akord marsza żałobnego. Drgnęła jakaś struna naciągnięta zbyt silnie, pękająca.

— Dowidzenia, panie drogi, bardzo, bardzo drogi, — zaszepotało pośpiesznie kilkanaście głosów.

— Dowidzenia?!... a gdzież ja Was jeszcze zobaczę,— z boleścią nieukrywaną odpowiedział już przy drzwiach Posępno,— przed Wami życie, świat, a przedemną...

— Będziemy się widzieć tam, gdzie pan nas dojrzy w swoim serdecznym widzeniu przyszłości, a my pana wszędzie będziemy widzieć w życiu,—półszlochającym głosem prawił Furdasiński.

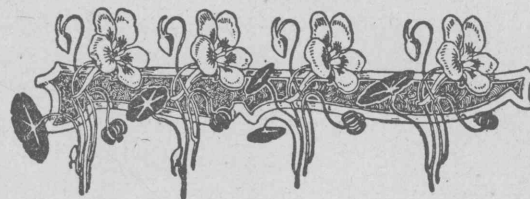
Zdolność do wygłaszania tego rodzaju zdań zaprowadziła go w parę lat później do kraju Jakutów, gdzie spełniając zlecenia życiowe ukochanego nauczyciela zajął się szczepieniem ospy tubylcom i studjami nad fizjografią tajgi. Pudel „buchnął“ jedno pudełko z kolekcji i dla tego został przyrodnikiem, Centryfuga dostał na pamiątkę jakieś wydanie Iljady

i dla tego tylko został filologiem, klepiącym biedę i ideały, aż do śmierci.

Nauczycielem został również Węgiełek, który ma często illuzjonowe widzenia i mówi, że widzi często cień zmarłego w dwa lata po rozstaniu z chłopcami Posępny, jak wchodzi do rozmaitych szkół nowych, tragicznych, wychuchanych przez dusze i tęsknoty, jak czegoś szuka, szuka.



CZTERDZIESTÓWKA.



Lestto opowieść życia kawałka, jakie przypadło w udziale gniadej kucce—zwanej Czterdziestówką w domu, który był jej ziemskim przytułkiem. Czterdziestówka jest istotą realną;—kochano ją, ona kochała, żywiono ją, ona żyła,—w pewnem gronie młodocianych pamięci przeszła po zgonie swym do historii wieków średnich tejże młodoci i pamięci.

Chodzi o to, że pewnego popołudnia grudniowego pan Stanisław Radwanowicz najstarszy przedstawiciel młodego przychówku dziedziców Domińjum Oktawin wybrał się z najmłodszym ze swoich braci przyrodnich — dziesięcioletnim Mizgusiem na przejażdżkę sankami do lasu.

Dzień był piękny, suchy. Szklił się sypki kryształ na okiściach i odwalonych przez płozy skibach puszystego śniegu, w przydrożnych gajach poskrzekiwały plotkująco srocзки, a bułany konik, kierowany już dość wprawna ręką Mizgusia, prychał i paraskał donośnie na zdrowie, na ochotę.

Trzydziestoletni brat starszy z dziesięcioletnim bratem najmłodszym mieli do siebie nieprzeparty pociąg sympatii przez wielkie wspólne umiłowanie wsi rodzinnej, łowów, zwierząt leśnych, polnych i domowych,—co dla reszty rodzeństwa—dwu braci pośrednich i siostry—było sprawą, jeżeli nie obojętną zupełnie, to w każdym razie bardzo nieznacznie tylko interesującą ich miejskie edukacje i światowe wychowanie. W każdym gnieździe możemy znaleźć potomków, z których jedni mają ruch odśrodkowy, drudzy dośrodkowy względem gniazda.

Takie dzieci w domu nazywają się udałymi i nieudałymi, i te drugie tym się różnią od tych pierwszych, że ich cieszy byle głupstwo z tego życia, z przyrody, gdy dzieci udałe pociąg tylko mają do abstrakcji, do wysokiej materji.

To też parszaniu bułanka wtórował Mizguś wesołem pokrzykiwaniem „hej! hej! wiśta bułek!” — a pan Stanisław pogwizdywał sobie coś z operetki. Tak minęli wieś, wyjechali z opłotków, parę razy zatoczywszy się pod nie dzielnie bosemi płozami, wysunęli się na boczną, przez pole, kopną drogę, — zmierzającą do mostka na rzeczce pod lasem. Tu zatrzymali się nagle. Na brzegu rzeki wysoki chłop w ciemnej sukmanie i wysokiej barankowej czapie po-

rał się z czemś małym, co się na śniegu ruszało i wierzgało nogami.

— „Co ty robisz Szczepanie?—huknął na niego z mostu pan Stanisław — po kiego diabła wiążesz tego żrebaka?”

— „A bo chcę utopić—wielmożny panie—pokraccz mi się toto urodziło, a po dobrym—po Janowskim ogierze, to trza spławić, żeby jaki urok nie padł na dom, na chudzinę. Zawdy to niedobrze, gdy takie zostanie w domu“.

— „Poczekaj — pokaż go tutaj, co zeń za pokraka“.

Chłop zgarnął posłusznie żrebie pod pachę, wdygował na mostek i ustawił je przed sanekami. Przed braćmi stała mała, ścierkowatego koloru, kilkodniowa zaledwie kobyłka, chwielająca się na słabych, nienaturalnie grubych w kolanach nogach, mrużąc kaprawe, biedne ślepki przed złotymi blaskami słońca, drżąc całym ciałem, jak w febrze i opadająca na zad. Krótka szyja jej wychodziła z jakiegoś nie to guza, nie to kabłąka łopatek, co robiło wrażenie, jakby miało chomąto na sobie. Lecz taki jakiś był bezbrzeżny smutek w całej tej postaci, jakaś taka rzeczywista tragedia nieszczęśliwego, czy niepotrzebnego przyjścia na świat cudzy wiała z tego pokrzywionego ciała, że drgnęło coś we środku Mizgusia i ten zeskończył z sanek i ukląkł przy żrebaku.

— „Stachu! weźmy go weźmy. Nie daj

go utopić Szczepanowi, on taki nieszczęśliwy ten żrebak"—i Mizguś bliski był płaczu, całował kobyłkę w chmiz na czole, przytulał do siebie.

— „Rzeczywiście Szczepanie — co ja masz topić, mordować—oddaj ją nam lepiej”—rzekł pan Stanisław.

— „O nie — dawać nie chcę, bo by ten urok, co ma pokraka w sobie, padł na państwo, na dwór“.

— „No to mi sprzedaj żrebię!“

Targ w targ za srebrną czterdziestówkę i papierosa przeszła kaprawa kobyłka z rąk chłopskich w wielmożne ręce pańskie i — owinięta w derkę z siedzenia — ułożoną została w sankach w objęcia Mizgusia. Pan Stanisław wziął lejce i tak wrócili do domu.

W domu zjawienie się dwu braci ze żrebakiem nie wywołało zbyt wielkiej sensacji. Matka ich—kobieta wielkiego serca i rozumu, zbyt była przyzwyczajona do dziwactw swego najstarszego syna i do żałosliwych chimer swego Benjaminka, aby się wzruszać zbyt znacznie nowym obiektem ich sentymentu, jednakowoż widok niedoszłego topielca i ją poruszył tak, iż zakrzętnęła się koło nakarmienia go mlekiem. Ponieważ Oktawin miewał stale z powodu „bydlakofilji” (zdolne określenie drugiego z rzędu Rafałka) liczną menażerję, więc uskutecznienie tego nie przedstawiało zbyt trud-

dności. Zrobiono naprędce z kawałków czystego płótna i waty smoczek, którego jeden koniec wstawiono klaczce w pyszczek, drugi w miszkę z mlekiem, przyciśnięto raz i drugi chrapiąc palcami i po chwili właścicielka ich ssąc poczęła, ciepłe mleczko. Piła chciwie pochrapując i zachłystując się, — a nad jej głową odbywała się żwawa narada nad tem, jakie przy tym chrzcie mlecznym nadać jej imię. Była chwila, że o mało nie przylgnęło do niej wołanie Znajdka, później Topieliczka, wreszcie Garbatka, — ale wszystkie te imiona zbrakowało Mizguś, uważający się od pierwszej chwili za jedyne go prawego i naturalnego właściciela klaczki, jako że za jego własną srebrną czterdziestówkę została od śmierci wykupioną — i utwierdził wskutek tego za nią imię chrzestne Czterdziestówki.

Chcąc opisać jej żywot cały w Oktawinie, musiałbym zużyć tyle atramentu, ile Czterdziestówka spożytkowała na swój prefit wody studziennej — i jeszcze bym nie ujął całej zmienności jej życia i tegoż wypadków. Istnieje wogóle na świecie przesąd, że tylko życie ludzkie jest coś warte ze względu na obfitość wydarzeń w stosunku do ciągłości czucia, — przesąd o tyle niesłuszny, że są żywoty nawet nadczłowiecze całkiem bez przypadków, a czucia tak jednostronne i niedokształcone, że nasza Czterdziestówka Hamletowym mogła by wybuch-

nać śmiechem na ich wspomnienia. Wogóle niema niema nic fantastyczniejszego nad to, co ludzie nazywają rzeczywistością. Cóż jest bardziej względne, zmienne, znikome jak ta mniemana rzeczywistość — że powtórzę słowa nie czyje inne, jak Mickiewicza—jak ten świat widomy, który ciągle przemija, nigdy nie jest obecnie, z którego tylko tyle pozostanie, ile duch zachowa. Cóż więc się zachowało w Oktawinie z Czterdziestówki? A no początki wychowania ludzkiego były twarde. Pierwsze stany uczucia upłynęły jej na grymaszeniu co do metod przyjmowania pokarmów. Smoczek płocienny zbojkotowany został po tygodniu, taki sam los spotkał sutkę gumową, pożyczoną od pewnego karmionego „sztucznie“ (!) mlekiem sterylizowanym potomka szlachectwa i szlachetności z domu sąsiedniego. Wreszcie Mizgus—przezwany przez rodzeństwo złośliwie kobyłą mamką—użyć musiał swego palca średniego, jako środka komunikacyjnego ze środowiskiem mlecznym. Wstawiał całą rękę do miski z mlekiem i palec średni pakował w gębulę Czterdziestówce, silnie jednocześnie lewą ręką przytrzymując ją za czub. Kobyłka tak się przyzwyczaiła do tego sposobu odżywiania, że Mizgusiowi wkrótce zlaź z palca paznokieć zupełnie. To było jego pierwsze doświadczenie przyrodnicze.

Odżywiana w ten sposób Czterdziestówka

rosła żwawo w górę i w boki, zmieniając szybko barwę sierci i plan ukształtowania cieleśnego w kierunku, który — nastroszeni ewolucyjnie—zwykliśmy zwać postępem. Aliści przyszedł w końcu dla Mizgusia czas, w którym kaprawa, garbata znajдка okazała się zupełnie ładną, gładką, wcale nie garbatą, grubą jak ogórek, gniadą klaczką, na którą zazdrośnie spoglądali chłopcy z sąsiedztwa. Grzbiet jej miał kształt łabędziowy bez jakichkolwiek bądz śladów, czy wspomnień garbu, nóżki stały się równe, strzeliste, sarnie, — łepiek wypiękniał, oczy wypełniły się ogniem życia. Pozostała tylko przykrótka trochę szyja, co nie wpływało jednak bynajmniej na niekorzystny szkic jej profilu, gdyż fantazja w trzymaniu głowy i pewien nadzwyczajnie zadzierzysty wyraz postaci robiły z niej — rzeczywiście—małego cholerycznego Pegazika. Przymiotnika tego używam celowo, gdyż Czterdziestówka — niestety—przyjemnym co się nazywa charakterem, ani miłym obejściem nie odznaczała się wcale, była to sekutnica i pasjonatka pierwszej wody. Zaczynał pan Jan Chryzostom Pasek miałby z niej pyszny dowód do potwierdzenia swej biologicznej tezy o tak zwanem przez niego chamskim pochodzeniu.

Czterdziestówka był chamką w pełnem, dokładnem tego wyrazu znaczeniu. Gryzła swego opiekuna o byle co, nie dała do siebie do-

stąpić nikomu, z wyjątkiem rodziny swoich państwa, kopiąc w tej chwili nogami w „niebogłosy“, lub stając dęba i rzucając się z wyszczerzonymi zębami do gryzienia. Jeżyła prztem sierć — jak kot fukający — i wybałuszała ślepki, które nabiegały jej krwią, jak u rzeczywistego drapieżcy.

Raz o mało co w ten sposób niestratowała pewnego staruszka literata, który, widząc ją wędrującą z tyłu za gospodynią domu na podobieństwo pieska, chciał koniecznie pogłaskać „miluchne stworzenie“.

Prawda był jeden obcy, do którego Czterdziestówka czuła nie to słabość, a pewne uczucia zwilgnienie.

Był to nauczyciel starszych paniczów — stary romantyk i przeczułeniec pan Florjan, dla pewnego podobieństwa ze swoim niebieskim patronem zwany pospolicie „Świętym Florjanem z końskim zębem“ — czy też „z kukurydzą“, zależnie od tego, co piastował w ręku — bukietik niewinny kwiatków, czy też duży, jasny, nankinowy parasol.

Pan Florjan w pewnych minutach żywota chodził marzyć do altanki w końcu ogrodu. Siadał tam na ławeczce, rozkładał na stoliku nigdy niedokończony rękopis traktatu o Lilli Wenedzie, podpierał dłonią natchnioną, ascetyczną twarz z długimi włosami, ustawiał oczy w niebo i zapamiętywał się cicho. Zanim w tro-

py cicho również cup! cup! sunęła Czterdziestówka w przyzwoitej odległości kilkunastu kroków i — gdy pan Florjan pograżył się już dokładnie w wewnętrzną kontemplację, — stawała przed nim zapatrzona w niego, z namaszczeniem skupionem, z kęsem trawy w zębach i nastawionemi uszami. W takiej adoracji milczącej on Lilli Wenedy, ona jego potrafili czasami trwać kilkanaście minut, dopóki jaki zewnętrzny casus nie przerwał seansu. Co upatrywała w poetycznej postaci pana Florjana nastrojona skądinąd bardzo pozytywnie Czterdziestówka — odgadnąć nam trudno, może był on dla niej tym sfinksem, którego dla perspektywy naszej „optyki“ wymaga od nas biologiczna tajemniczość naszego wychowania, może Czterdziestówka widziała w zacnym komentatorze Lilli Wenedy jaki lusos naturae, może brała go za dziwny wykwit roślinny z powodu nawału kolorów? — Pan Florjan bowiem kochał się w barwach: kamizelki stale miewał jasne, kolorowe, krawaty „morengowate“, kapelusik jasny z białą wstążką, obuwie nawet jakiś czas nosił z zielonej skóry, koloru morskiej trawy, której to barwie nie chciała przez dłuższy czas uwierzyć naiwna Marysia pokojówka, głośno wypowiadająca obraźliwe przypuszczenie, że panu Florjanowi w doborze koloru obuwia musiała dopomódz któraś z krów na pastwisku fałszywym tropem życia.

Wszystko trwa krótko na świecie. Pan Florjan zbudził się z zadumy i Czterdziestówka — hiknąwszy przeciągle, wierzgnęła lekceważąco w stronę altanki i krótkim galopkiem pomknęła na trawnik, gdzie z najwyższym lekceważeniem ziół boskich zwykła się była tarzać we własnej rozkoszy. Stąd ją jednak wkrótce spędził, starannie dbający o przyzwoitość form i ruchów, czarny kudłaty Sułtan. Był to znany domowy śledziennik i wątrobiarz, zamęczony przez pasorzytów i stary katar żołądka. Wogóle dla miłego spokoju żywota nie warczał on już nawet na dziadów i starannie omijał wszelkie styczne ze swoim obowiązkiem stróża domu, jednakowoż nie był w stanie nie wyrażać swego oburzenia na nadmiar joie de vivre, jaką promieniowała z siebie Czterdziestówka. Niecierpieli się ci dwoje starannie i nieprzepuszczali żadnej okazji, aby sobie tego uczucia nie wykazać, choćby to się miało dziać po kilkanaście razy dziennie. Wiedząc, jak droгим jest sen pogodny dla Sułtana, Czterdziestówka co najmniej z kilkanaście razy musiała prze-galopować koło niego z dzikiem, drażniącym każdą powagę rżeniem, tuląc nadto uszy i wierzgając i wszelkimi innymi środkami pokazując swoje niechęci względem starego psa.

Dzika i chimerna klaczka jednak z wielkiem posłuszeństwem poddawała się tresurze i — gdy minęło jej cztery lata prawem przepi-

sane dla koni stajennych — w krótkim czasie ujeżdżoną została przez Mizgusia doskonale i pod siodło i do zaprzęgu. Kłus miała wspinały, prześcigała wszystkie konie w okolicy, — rwała się pod siodełkiem chłopca dwie mile bez żadnego zmęczenia, miękka w pysku, zwrotna, chodziła ściśle jak strzała, że rozkosz była nią powodować, tylko trzeba było na niej dobrze siedzieć, bo niepewnego jeźdźca ściągała ze siebie za nogę zębami, lub zrzucała nagłym szczupakiem w bok i w tył. Potrafiła nadto leżącemu co przyłożyć z reszty nogą. W parze z siwym kucem Elfikiem — nabytym z wędrownego cyrku, tworzyła najlepszą parę koni w Oktawinie. Wogóle psychologowie, odmawiający koniom stopnia wyższej inteligencji, znajdując się w grubym błędzie, jako tem swoich chlebobawców przekonywała właśnie czterdziestówka. Para ta kuców, kiedyś nocą wyprowadzona przez koniokradów ze stajni, w kilka dni powróciła sama z wozem połamanym, potrzaskanym prawie w kawałki — wychudzona, zmordowana do śmierci kilkumilowym prawdopodobnie pędem, z pokrwawionemi od wędzideł wargami i z porwanemi lejcami.

Kiedyś znów Czterdziestówka zbudziła śpiących w stajni stajennych i fernali wściekłym tłuczeniem się w zagródce, rżeniem, charczeniem, tupaniem. Okazało się, że od zapruszonego od latarki ognia, zajęła się już słoma

i dym gryzący zarodka pożaru wypełniał całą stajnię. Ocalała życie trzydziestu koniom i trzem ludziom; prawdopodobnie niespokojnie zachowywały się i inne konie, prawdopodobnie też w swoim języku dawały ludziom znać o grożącym im wspólnie niebezpieczeństwie, lecz u Czterdziestówki jedynie instynktowy odruch przez pośrednictwo wyraźniejszej woli przeszedł w czyn, a stało się to przez to samo, co i u ludzi,—Czterdziestówka przewyższała swoje otoczenie temperamentem, który jest w walce o byt niesłychanie twórczym czynnikiem.

Ten ognisty temperament, ta jej „wściekłość“ charakteru dodawały jej — rzeczywiście — jak gdyby skrzydła do boków i promienie Fobusowe do głowy. Mizguś nie tylko, że uwielbiał, ale i kochał szczerze swoją klaczkę. Co za rozkosz była dla malca—pognanego już do gimnazjum i mordującego się w kurzach i zaduchach miasta, po przyjeździe na wakacje do domu rodzinnego wskoczyć na grzbiet Czterdziestówki i pomknąć w ukochane pola rodzinne. Klaczka rozumiała młodego jeźdźcę, witała go prychnieniem i namiętne obwąchiwaniem;—osiadłana i wzięta w cugle z miejsca brała w skok sarni prosto w świat przełajem. Zaraz za dworem, na wielkiej szerokiej drodze, dawniej Królewskiej drodze bojów i chwały, w podcieniu olbrzymich nadwiślańskich topoli —

puszczała się za głosem Mizgusia w cwał rycerski i mknęli tak czasami wiorst kilkanaście. Mizguś wołał, śpiewał, śmiał się, klepał i pieścił klaczkę, — a ona odpowiadała mu parskaniem i parla w świat takim pędem, że aż błoto bryzgało we wszystkie strony. Hej! jazda to była jazda... stały im się do nóg mgły srebrne z łąk i pól — w jesienne koszmary i widziadła stulonych, świeciły im zorze dalekie, dalekie, czerwone aż het z za Wisły, — słała się przed nimi bezkresnym urokiem dali ta ziemia ukochana, — a wiatr bił w piersi, utęsknione do tego kochania serdecznego, zdrowym wiewem lasów wilgotnych i pól przewianych oddechem ziemi.

Wracali—Czterdziestówka w mydle z piany, Mizguś bez czapki, z twarzą pobielającą, dyszący oboje—lecz z oczami pełnymi opalowych blasków jesieni i tego światła życia, które daje krew gorąca. A te przypadki w tych jazdach mocarnych!.. Raz na zboczu gliniastego osypiska, śliskiego po długiej ulewie, Czterdziestówka w pełnym klusie poślizgnęła się, zwinęła i razem z Mizgusiem na karku sturlała koziołkiem aż na dno głębokiego, zarosłego leszczyną, czeremchą i świdwą wąwozu; przy tym wypadku nietylko, że im się nic złego nie stało prócz nieznacznych podrapań skóry, ale Mizguś nawet nie zgubił strzemion w upadku i jak siedział na siodle, tak się razem Czer-

dziesiątką z upadku ze śmiechem wesołym podniósł. Mocno pasowali do siebie ten czterastoletni jeździec i ognista klaczka. Kiedyś, gdy wracali z dalekiej wizyty do przyjaciela Mizgusia, napadła ich w gołym polu, na szerokiej gładkiej równi rolnej, burza z piorunami, ulewą, grzmotami. Czterdziestówka, niebojąca się nikogo i niczego, wskutek wielkiej jakiejś elektropojemności bała się burzy okropnie. Pierwsze błyskawice oślepiły ją odrazu, stanęła, poczęła drżeć,—gdy zaś łupnął jeden i drugi piorun w nieznacznym oddaleniu, nagle podgięła kolana i szybkim ruchem położyła się plackiem na ziemi. Próżno Mizgus prosił, pieścił, błagał, targał za cugle, walił wreszcie sticciem znerwowany również burzą, Czterdziestówka ani myślała się z ziemi poruszyć, drżała przy tem tak febrycznie, że Mizgus koniec końców sam się „wziął” i położył przy klaczy na ziemi, w błocie. Na to nadjechał przykryty z głową workiem na wozie stary żyd Nuchim z sąsiedniego miasteczka. Widząc taką parę leżącą na drodze w ulewę plackiem, przerażony sądzi, że ma do czynienia z ofiarami porażenia piorunowego, zeskakuje z wozu, biegnie do Mizgusia, chce go z ziemi podnosić, ten stanowczo protestuje przeciwko wszelkim sukursum i decyduje, że dopóty będzie leżał na ziemi w błocie, dodóki się Czterdziestówce będzie podobało. Stary żyd zupełnie bezradnie rozło-

żył ręce, nic już zupełnie nie rozumiał, dlaczego ten panicz nie dał podnieść kobyłki z ziemi batem i po co przy niej leżał w błocie — wszystko to przechodziło jego rozum. Burza wreszcie przeszła powoli, Czterdziestówka uspokoiła się, podniosła z ziemi razem z Mizgusem — wywalani w błocie jak nieboskie stworzenia;—pocziwy Nuchim odprowadził ich do domu, bardzo zaniepokojony że „panicowi od te wszystkie figle to się coś w głowie zepsowało”.

Burza stała się później przyczyną śmierci bohaterki niniejszego opowiadania. W kilka lat później, gdy Mizgus wyrósł już na wysokiego młodzieńca i zastanawiał się, co ma robić ze sobą po skończeniu „budy”, gdyż — chociaż uczył się wcale dobrze,—ale do wszelkiej wiedzy i nauki miał szczerą, rzeczywistą antypatię,—Czterdziestówka stała się wierzchówką jego siostrzeńców i towarzyszką pracy zaprzęgoj wyżej wspomnianego Elfika, z którym do czekała się błogosławieństwa stosunku małżeńskiego w postaci ogromnie komicznego, zupełnie do dużego szczura podobnego, długochmizowatego żrebaczka, przezwanego później Chaimekiem. Otóż w czasie, gdy Chaimek jeszcze ssął pierś matki, stajenny chłopak Wicus niewiedomo z jakiej racji pozwolił sobie do wycieczki na pocztę po listy zamiast Elfika osiedlać bardzo nerwowo odnoszącą się do swego ma-

cierzyństwa Czterdziestówkę. Poczta była o jakie cztery wiorsty za rzeką i lasem i — gdy Wicusz dojechał do niej — zaczęły się na niebie zbierać baterie chmur czarnych, siwych, rudych — pobłyskiwało zdaleka dygotanie rozprężonej w powietrzu siły żywiołowej, wiatr zaczął zamiatać djablim obertasem kurz na gościńcu, a w powietrzu zrobiło się duszno, jak gdyby kto otworzył na świat dobrze nagrzaną do chleba szabaśnik.

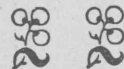
Bardzo zaniepokojoną i rozdrażnioną Czterdziestówkę bardzo inteligentny Wicusz — przezywany we dworze dla tej swojej cnoty „Wincenty wniebowzięty” — pozostawił przy płocie, założywszy tylko cugle niedbale za pierwszy lepszy kołek.

Jeden, drugi piorun wywołał stary efekt, — klacz zaczęła się trząść, dygotać, targać — wreszcie, machnąwszy mocniej głową, zerwała słabe więzidła i ruszyła z miejsca do domu pędem. Wpadła w las, z lasu chcąc skrócić sobie drogę — bo instynkt orjentacji przestrzennej miała bardzo silnie rozwinięty — wzięła się ku mostkowi, pod którym pierwszy jej właściciel chciał ją kiedyś utopić. Nie wiedziała jednak biedna klacz — wskutek braku stosunku z informacjami ludzkiemi — o tem, że most zniszczyły ulew i wylewy rzeczki i że był on dla naprawy zupełnie rozebrany. Na głębsze orjentacje i decyzje poważniejsze, gdy dopadła brzegu roz-

wichrzonym galopem, nie było już czasu, skończyła więc prosto w nurt wody — w mętne, zbiełałe, bulgoczące dziwne wieści żywiołu fale rzeki. Dała w wodzie szczupaka raz i drugi — i nagle zanurzyła się z głową pod wodę, wypłynęła znowu po chwili, znowu chrapiąca i stękająca głośno poszła na dno, uderzyła o słupy mostu, pokazała swe sarnie nóżki w białych pończochach raz jeszcze chroniącemu się pod resztkami mostu przed deszczem pastuszkowi Maciusiowi, — wreszcie spieniona płasń wody zamknęła się nad nią na zawsze.

W kilka dni fale rzeki ułożyły jej ciało na tem samem miejscu, na którym Mizguś — odebrawszy ją od Szczepana — pieścił ją i całował przed dziewięciu laty.

Tak się skończyła pieśń życiowa Czterdziestówki, było w niej z ducha tyle, że ją Mizguś — mocny i twardy młodzieniec — opłakał serdecznie i zawsze wspominał z miłością, za co od filuternych dziewcz w zawsze dostawał oczko kokietujące i słodkie zapewnienie „pan jednak bardzo sentymentalny“!



MORZE.



Niewiem, czy jest większy spazm po, dziwu i wzruszenia, jak kiedy się zobaczy po raz pierwszy w życiu morze, po wielu latach marzenia i snów o niem. Wzdęta bania rozchełstanej w bezwładnych ruchach wody przykuwa nas do siebie przemożnym, twardym pociągiem magicznym, obezwładania samą grozą potęgi żywiołu tak, że wszystkie ludzkie moce, środki i ujęcia odrazu przedstawiają się nam jako mikrokosmos głupstwa. Człowiek stoi zawstydzony rachityczną karłowatością swej postaci, upokorzony śmieszną dziecinadą swych zachynów i pomysłów; jakiś tytan myśli wszechbytu przycisnął go paznogciem do gorsu ziemi i chwila jedna, a zostanie z niego tylko wspomnienie i... plamka związków azotowych. Przypuszczam, że o czuciach jakichś rozkosznych niema wtedy mowy zupełnie i literaccy ich abonenci nie zdają sobie sprawy z pogńebienia jaźni, jakiemu podlegają paralitycznie, i biorą to za dobrą monetę własnych nastrojów.

Oczywiście, zastrzegam się, że jest jeszcze

pewien gatunek człowieka, który, pokrzepiwszy bydlęce przerażenie przepaści kilku kufłami mocnego bawara, zaczyna wygrażać alpenstoc-kiem majestatom Matterhornów i Montblanc'ów i obiecuje zmierzyć się z nimi, który, kąpiąc nieszczęśliwego gatunku i piękna ciało w słonej brei lagun na Lido w parne lipcowe południe, wymyśla morzu od niedołęgów i staruszków. Ten gatunek *pithecanthropusa* obrzydza zwykle wszystkie piękniejsze widoki i treściwsze nastroje samotni z przyrodą, opowiada więc o swoim czuciu morza tylko wtedy, gdy to ostatnie jest ciche i głupie, w czasie burzy ginie za to w objęciach choroby morskiej i zatulnych kabin, twierdzi, że... musiał zjeść coś niezdrowego. A morze tylko wtedy właściwie jest zupełnie pięknie, gdy odejdzie od nas ten pan, dalej strach, nuda powszedniości i cłikwy sentyment życia, gdy fale, wznosząc się do wysokości naszej głowy nad pokładem kruche-go statku, zaglądają nam w oczy zielonemi oczami śmierci i chychocząc śmiechem stada hyjen na popieliskach, rzucają się nam zdradnie pod nogi w jakiejś obłudnej, strasznej gracy pokłonu.

Fracha pływać w łódce po zielonej, spokojnej płasni w ciszę morską i liczyć na dnie martwe pnie koralu, lub zaglądać w brzuchy meduzom, rozkoszą jest przedziwną i dostojną oczu witeziowych, zajrzeć w oczy fali obłąka-

nej morza rozhukanego, morza, któremu rozpętała się moc męska, tragicznie nieugięta i niespożyta, któremu kotłuje się w głębiach spienionych rozszalała orgia swobody i siły, któremu wolno huczeć, ryczeć i kotłować się obłąkanie, czy spazmatycznie, bo taka jest jego siłacza wola i skutek.

Rozkoszą jest właśnie to, że człowiek taki maleńki, taki paskudnie mały śmie, ma chęć patrzeć w oczy temu obłąkanemu gladjatorowi, który dziobie trójzębem we wszystkie strony, nie patrząc gdzie i w co trafi. Jestto przyjemność mrówki łąjącej po prętach klatki lwa, tylko co zamkniętego w niej.

Przyjemność nie jest wrodzoną, trzeba jej nabrać po pewnych dosyć długich doświadczeniach życia, które dowodzi, że najgorszym wrogiem zachowania gatunku i życia jednostki jest tchórzostwo i brak pewności czynu, najpewniejszym środkiem na śmierć — odwaga, która w dodatku ma to do siebie, że daje jeszcze wyborny humor, dobre trawienie i pewien pion i poziom życia.

Morze jest piękne, pisano o tem tyle razy w tylu postaciach wykwitu ludzkiego dowcipu, że mój głos mizerny nie jest w stanie dobijać się o nowe dla siebie stanowisko. Morze jest rozumne (tego jeszcze nie było!) — oczywiście, pośrednio, względnie, retorycznie, gdy je postrzegamy jako sprawdzian ludzkiej psychiki,

jako podżegacza ludzkich instynktów, odruchów i czynów podporządkowanych nakazom woli. Ciekawy jest tłum ludzki na okręcie w czasie gwałtownej burzy, gdy poważne niebezpieczeństwo zostało stwierdzone i dla jasności biegu wypadków temuż tłumowi zakomunikowane. Ten gwałt, ta rozpacz o tandetne, indyjskie często życie, o niedokończone wróble interesy na tym padole niemowlęcego płaczu, ten ścisk i popychanie się na desce ratunkowej tych, którzy tylko co gdakali pompatycznie o męstwie, gulgotali o cnotach, a nad tem wszystkim spokojny, męski głos bohatera Titanica: „bądźcie anglikami, pokażcie, że umiecie umierać spokojnie!” I rzeczywiście, cały tłum mężczyzn i kobiet momentalnie przypomina sobie przynależność do bogatego w cnoty rasowe narodu i umiera prześlicznie, spokojnie, że aż ocean się zdumiał, umilkł i, świecąc białym światłem pokruszonych na kaszę pól lodowych, w poświacie przerażonego księżyca, uroczystym wygładzeniem płasni wód wita szereg kołyszących się w pasach korkowych na powierzchni fal ciał ludzkich.

Śmierć jak Wenus, jak Afrodyte anadyomene musiała się urodzić z fal oceanu, ale nie ta śmierć mieszczańska w betach, z rumiankiem, z lekarzem na pulsie ręki chorego, ta śmierć omdlewająca i powolna od zaduchu szpitalnego przy umierającym, lecz ta śmierć

cudowna, bohaterska, którą dziś jeszcze wielbi Eskim ginący i Chiński bokser zajądły.

Musiała się ona urodzić nie z przerażenia, nie z niemocy ducha uciekającego z ciała, gdzie pieprz rośnie, a z mocy splotu uduchowionego ciała z żywiołem w jedno pramateryi ogniwo dla dalszej wędrówki ducha tęskniącego i idącego ku prawdzie odwiecznej.

Niema ta śmierć w sobie nic przeraźliwego, nic okrutnego i nielitościwego, przeciwnie jestto ta biała pani pocziwych Eskimów, która do męża umierającego w męczarniach po wypruciu mu jelit przez polarnego stróża-niedźwiedzia, podchodzi cicho i z uśmiechem wiecznej pogody Eskimów kładzie mu dłoń zimną na sercu obnażonem. A mąż dzielny zaczyna wtedy śpiewać pieśń łowiecką i tak przechodzi na wieczne pola Wielkiego Ducha ziemi.

Ta śmierć biała w pianach fal oszalałych wstaje nad okrętem przeładowanym dobytkiem doczesnym człowieka gospodarza i każe załódze rozpaczać nad tem, jak poradzą sobie z nią, ze śmiercią ich wdowy i sieroty; ta śmierć goni korsarzy i łupieżców społecznych — w postaci okrętów, widm i wysyła lubieżnikom syreny; ta śmierć przedziwne wieści wszechświata nuci w jękach fal poetom i bohaterom, o nieskończonym odmęcie świata, o błękitnej toni nieskończoności, o tajemnicach życia, mroków dna i słonecznej grze fal powierzchni, o skamienia-

tych cmentarzach przeszłości, które na dnie wód czekają nowej przyszłości.

Może być, że niewolno igrać z miłością, ale jest wiek, nastrój i wena, gdy koniecznie trzeba igrać ze śmiercią, która wtedy staje się naszą miłością, igrać dowcipnie, pogodnie dla właściwego zdania sobie nareszcie sprawy z tego, czym dla nas właściwie jest owe życie.

Morze jest boskie, przez demoniczność swej grozy, przez słodycz swojej ciszy, przez swój bezmiar, nieskończoność, brak początku i końca. Kult morza u pogan jest wyższym stopniem religii, arystokratyzacją bóstwa.

Przypuszczam, że te pieśni, które śpiewano na Rugii, w Jastarni na Helu, na Górze Biruty pod Połęgą, miały już wyższy kaliber ducha i większą klasę literacką niż te, które poczęły się na Gople, na Lednicy, w chramach pieczar nad Łabą i Prądnikiem, w rozkwicie epoki głębilądowej. Było w nich głębsze i większe ujęcie siły, rządzącej światem, było w nich potężniejsze zobrazowanie Boga. Gdy się patrzy na brudny seledyn słowiańskiego morza, Bałtyku, rozlany w amforze cudnie zielonych borów pod Połęgą, ma się wrażenie, że do wtóru nigdy nieustającej pieśni morza słychać z góry Biruty śpiew ekstatyczny wajdelotek tej ziemi, która i dzisiaj żąda od swych dzieci specjalnej dla siebie modlitwy z obowiązkowym ucałowaniem tej, na której

się klęczy. Dla nich, dla tych wajdelotów i wajdelotek morze było, zapewne, rozlane na ziemi snami bożymi na jakąś wielką ofiarę, rozlane w kruży ziemi rodzajnej na powtarzanie szmeru fal jakiejs ballady, wieczystej prawdy o ziemi i życiu. Pieśń morza od tych wajdelotów z ich ust i serc szła daleko w głębie lądowe, daleko, daleko...

Znamy przecież pieśni o morzu i pokłony jemu u huculów, a naszych górali zakopiańskich „Morskie Oko“ jest jakimś echem odwiecznego kultu żywiołu, który niegdyś zalewał całą tę krainę. Piękne są modlitwne pieśni do morza u Szwajcarów, nad fjordowem jeziorem Czterech kantonów, które oni również zwą swoim morzem. W kulcie przyrody, w tym tak zwanym zabawnie przez wielu politeizmie, przez podobieństwo zapewne z polimorfizmem i poliglotyzmem, bóstwo morza niema w sobie nic drapieżnego, okrutnego do współki z innymi bogami, przeciwnie, odznacza się dużą wyrozumiałością i miłosierdziem.

Neptun jest więcej liryczny niż tragiczny. A legenda o Jonaszu i jego cudownym przebywaniu przez trzy doby w brzuchu u ryby jest tylko pewnym werselem odwiecznej ballady rybackiej, jak w czasie orkanu na wybrzeżach morza można się uratować jedynie w ten sposób, aby, silnie położywszy się na wiosła i ster, uciekać co prędzej na pełne morze. Tam

kilkudniowy pobyt bezpieczny w marnej łupince łódki dostępuje boskiego podziwu po powrocie na wybrzeże, gdzie orkan zdziałał wszystko złe, jakie tylko demon wymyślić może. Ryba jest synonimem morza, tak jak lew słusznie czy niesłusznie symbolizować wiecznie musi puszcę, nawet w bajeczkach dziecinnych. Podobno w pewnych momentach psychicznych i w pewnych ewolucjach osobowości zjawia się u ludzi nerwowych dziwna dla innych „tęsknota morza“, która się wyraża w tem, że osobnik dotknięty tem cierpieniem ciągle wszystkie swoje porównania, kojarzenia, pomysły dostosowuje (zresztą zupełnie podobno inteligentnie), do postaci widzianego lub niewidzianego nigdy morza, że wyobrażnia jego, jednym słowem, z płyty lądowej przechodzi na wypukliny oceanu, jak na nowe pole czy sferę swej działalności. Może wtedy poczynają funkcjonować wszystkie nasze jaszczurcze i rybnie rudymenty, nasze oko ciemieniowe, nasze zanikłe szpary skrzelone, nasz instykt dna i powierzchni, kto to wie?... Przypomnijcie sobie legendy średniowiecza o ludności podwodnej Atlantydy, o tych ludziach półrybach, którzy mają nawet swego biskupa pół-delfina.

Cudne są zachody słońca w morze w Połędzie w miesiącu sierpniu. Niebo wygładzone

i przewidnione do przepychu pała kolejno wszystkimi barwami od złota, miedzi do purpury i fioletu, rozjarzając się, to gasnąc w miarę pochodu zórz liljowych od gwiazdy polarnej ku granatom widnokręgu. A słońce, jak wielka złota patyna po ofiarowaniu, powoli opuszcza się w modrą krużę dalekiego morza i błogostawi na sen i odpoczynek wszystko żywe i rozkoszą cichego wieczoru dychające.

Na rozfryzowanej plaśni morza suną grzebienie pochyłe nagle zrywających się ze snu, czy spoczynku fal i w pewnej minucie przemieniają się w mistyczne, kiściośnięzne ptaki białej piany, które, nagle zwalając się w przepaście odmetu, rozsypują się w puch i rozdarte pierze tysięcy bryzgów i okruszyn bieli. Rytmiczny ruch i szum fal pieści uszy jakąś nieziemską serenadą, którą im dłużej i wytrwalej słuchasz, tem ci melodyjniejszą i dźwięczniejszą się ona wydaje; powtarzając w muszli naszego ucha pieśń tysięcy muszli morza, fala opowiada jakieś wieści słyszane przez nas chyba przed urodzeniem. Zasłuchanie a objawienie religijne to jedno.

W pewien taki wieczór miałem objawienie, to jest chciałem powiedzieć zasłuchanie morskie na Górze zacnej wajdelotki i patryjotki Biruty, córki Widymundowej. Zdawało mi się, że rozkołysane jakimś dalekimi i niedochodzącymi do Połagi wichrami, morze powta-

rza zwrotkę litewską: „*Perkunie Dievajti, ne muszk' Žemajtin, bet muszkie Gudan, keip Szunin Rudan*“ (Perkunie Bożku! nie bij w Żmudź, bij w Niemca, jak w psa rudego!), gdy raptem do uszu moich dobiegł hałas jakiejś kłótni, czy rozmowy z morza. Zobaczyłem tam w odległości kilkudziesięciu kroków od brzegu na zalanej mierzei grupkę chłopców z zakasaniem wyżej kolan spodniami i żołnierza straży pogranicznej rosyjskiej, który, w podobny również sposób pozbawiwszy się dolnego odzienia, wysoko podnosząc swój karabinek z bagnetem, o coś bardzo żywo się upominał. Nie pozostawało mi nic innego, jako nauczycielowi, jak zrzucić z pośpiechem sandały pielgrzymie ze stóp moich i pobrnąć w sukurs do chłopaków, między którymi notabene zauważyłem własnego wychowanka.

Okazało się, że chłopaki zauważyli z góry Biruty jakieś czarne cielsko na ławicy podwodnej, drgające jeszcze w agonji, czy w próbach instynktownych ratunku. Gdy podeszli do niego, okazało się, że mieli do czynienia z konającym delfinem, którego widać fale w czasie zeszłonocnej wichury wyrzuciły na ląd, gdy szukał przytułku, czy drogi między ławicami. Biedne prosię morskie, ubogi śmieciarz i czyszciciel szlaków okrętowych, szablo-grzbiet o podniesionym ryju wieprzka angielskiego, umierał, jak wszystkie tłuste i do głę-

bokiej toni przystosowane ssaki i brzegowce, na chorobę bogaczy, na apopleksję. Wyrzuty na ląd, na którym przez przystosowanie zapomniał już się poruszać, męczył się z własnym nieruchliwym ciałem, aż go trafił w kruchszem naczyniu krwionośnym tak zwany u nas z niemiecka szlak mózgowy. Chłopcy chcieli go koniecznie uratować i próbowali zepchnąć na głębszą wodę; nie bardzo im się to udało, więc pobiegli po wartownika dochodów celnych państwa, który gorliwie drzemał pod lasem. Żołnierz przyszedł, ale inaczej rozwiązał kwestję morską i postanowił koniecznie przebić delfina rycerskim swym „szytykiem“. Chłopcy niedawali, zasłaniali sobą i rękami biednego delfina, tłumaczyli ciemnemu kałmykowi, czy korelczykowi, że nie wszystkie kwestje i sprawy na świecie rozstrzygają się przy pomocy bohaterskiej szytyka, że oprócz karabinu i munduru żołnierz-chłop winien mieć także miłosierdzie i t. d. tym podobne młodzieńcze fantasmagorie, które nie miały żadnego znaczenia i rezultatu wobec tego, że żołdat twierdził, że on „żywotnoje“ przebić bagnetem musi, ponieważ tak chce, tak mu „coś“ każe.

Moja interwencja przydała się o tyle, że zwróciłem jego należytą uwagę, że delfin zdecht już dawno, a „kazionne dobro“ w postaci jego własnych butów wala się bez dostojenstwa na brzegu i w każdej chwili może zmienić wła-

ściciela. To ostatnie poskutkowało i prawy syn Marsa i Merkurego (straż celna należy do ministerjum finansów) dał pokój zaspakajaniu odruchów instynktowych i powrócił szlachetną rejteradą na ląd stały. My zajęliśmy się pogrzebem Delfina. Chłopcy poszli po łopatki i póty jak grabarze leśni, czy omarlice podkowwali się pod zgasłego brzegowca, aż zanurzył on się w tym dole wodnym zupełnie. Pracę zasypywania otwartej mogiły pozostawiliśmy falom i wiatrom, i rzeczywiście, po kilku już dniach stwierdziliśmy sumienne dokonanie zobowiązania. Chodziło nam jeszcze o to, jaki znak postawić na mogile. Jurek proponował palik z wyrzeźbioną przez niego swastyką, Staś gałąź w kształcie bagnetu, Jaś krzyż chrześcijański. Po długich i namiętnych dyskusjach utrzymał się na mogile ten ostatni, tylko dla dogodzenia gorącym protestom mam i ciotek poprzeczne ramię tego krzyża pochylono znacznie ku dołowi, pod bardzo ostrym kątem. Znak ten stał w morzu trzy lata.

W sporze zasadniczym teologicznym, który miał z tego powodu miejsce w budce nad morzem, bardzo wytyczne lokum zajął głos trzynastoletniej modrookiej, złotowłosej Zochny, która twierdziła, że Jezus Chrystus umarł na krzyżu za miłość ludzką i miłosierdzie, za to żeby ludzie miłowali wszystkich i wszystko, a więc i pocziwe zwierzęta lądowe i morskie,

że Jezus, który „lubił sam jeździć na białym osiołku” (dosłowny komentarz Zochny do Pisma Świętego), niemógłby nie bronić każdego ginącego w męczarniach zwierzątka i nie przyjąć go pod cień swego krzyża, że wszystkie łagodne stworzonka muszą też należeć do Chrystusa.

Niewiem, skąd ona to wzięła ta złotowłosa Zochna, może z tego morza, po którym o to codzień brodzą i depczą jej bose, śliczne, zgrabne nóżki, może z tych zórz złotych, które w jakiejs glori wstają wtedy nad jej główką jasną i morzem. Niewiem...

Może z tego, że najbliżej Jezusa są zawsze dzieci.



MISZA.



Dieszkałem wtedy w J... mieście gubernialnem na północy nad Dwi-
ną i codziennie chodziłem dla
przeciwdziałania ogarniającej mnie
coraz silniej nostalgji na dalekie spacery wzdłuż
brzegu tej pięknej rzeki.

Pewnego razu zastąpił mi drogę znajomy
chłop Archip, który jako jamszczyk ze stacji
pocztowej parę razy woził mnie trójką na spacer.

— A czy nie kupicie — baryn — przypad-
kiem niedźwiedzia?

— Jakiego niedźwiedzia, skąd znów tu
w J... niedźwiedzia?!

— Najrzeczywistszego niedźwiedzia panie, —
mój szwagier Andriuszka jest „ochotnik”, żyje
z lufy na tajdze. Przed kilku dniami natknął
się na starą Miszukową w barłogu z kilkor-
giem szczeniąt. Starą — jak się należy — „uko-
koszył“, skórę zabrał, a młode w worek i na
plecy, lecz że duszno było, to dwoje pomarło,
zatknawszy łapy w mordeczki, a dwoje jest
żywych do sprzedania — całych i zdrowych.

Zaintrygowała mnie opowieść Archipa i po krótkim namyśle poszedłem za nim do izby. Na progu powitał mnie — jak we wszystkich chatach wielkorosyjskich — ostry, wierący w nosie i oczach zapach kwaśnej kapusty z dodatkiem millefleur'u umarłych w kwiecie wieku pluskiew. Żona Archipa wysoka i chuda Małańja — moja praczka nadworna — kołysała w koszyku, zawieszonym na sznurach u pułapu, jednoroczne niemowlę, a na tak zwanej leżance leżało coś nie to zwierzę, nie to człowiek, nie to wielki tłumok z sukna, onuczy i przechodzonych łapci. Był to — jak się okazało — ów Andriuszka — myśliwiec zajadły. Gdy się podniósł ze snu i z leżanki na całą długość swego wzrostu, ujrzałem przed sobą coś kudłatego, sapiącego, mruczącego, zupełnie podobnego do niedźwiedzia, ale to do niedźwiedzia w spirytusie, gdyż niosło od niego niedawno pochłoniętą wódką w dużej ilości na dużą odległość.

Oczywiście był rozespany, pijany, z zaniebdanym zupełnie darem mowy ludzkiej, jak ci wszyscy ludzie z lasów, — po krótkiej więc wymianie niebardzo bogatych myśli, przeszliśmy do interesu.

Sięgnął gdzieś pod ławę i wytaszczył koszybiany, w którym przewracało się, śmierdziało i jęczało rozpaczliwie coś brunatnego.

Wysypał to na ziemię i okazało się, że było to dwoje okrutnie zabawnych, prawie że sześciobocznych, prawidłowych geometrycznie niedźwiedziątek, o małych szpareczkowatych oczkach, wydłużonych mordkach z noskami ciekawymi i o krótkich, grubych jak serdelki łapkach. Siadło to zaraz na ziemi i zaczęło w dalszym ciągu zawodzić boleśnie. Byli głodni. Karmiono ich kaszką z mlekiem z miseczki. Gdy podsunąłem się bliżej, chcąc się przejrzeć młodym panom Topytyginom — jak ich tam nazywają, — jeden z nich przyczołgał się na czworaczku do mojej nogi, objął ją łapkami, dźwignął się do góry na tylne łapki i począł w dalszym ciągu skowyczeć. Przypuszczam, że mój but z czarnego filcu przypomniawszy mu coś z matki, czy z barłogu, — a może moje ubranie przeszło zapachem lasów, w których ciągle wtedy przebywałem, dość że malec, podnosząc mordkę wysoko do góry, coś tam w swoim niemowlęcym kwileniu starał mi się opowiedzieć, długo, łkając, zawodnie. Był ból dziecka w jego skardze. To zdecydowało o jego losie.

Po kilkuminutowych targach już się znajdował w mojej kieszeni wymieniony na srebrnego rubla, który przeszedł znowu do kieszeni Andriuszki. Odtransportowany w ten sposób do nowego domu nie okazywał żalu ani tęsknoty za bratem (kupił go również w kilka

dni jakiś kupiec). Niemiał może czasu zresztą na to, gdyż spotkało go życie nowe, nadzwyczaj urozmaicone. Przedewszystkiem mój stróż Iwan Kuklin wymył go całego z głową szarem mydłem w ciepłej wodzie, zawinał w suchą szmatę i położył na piecu. Ciepło małego rozebrało, oczki mu się zaczęły zamykać i zasnął. Po przebudzeniu otrzymał imię Miszy, co znaczy po naszymu Michaś, i koszyk do spania razem z małym szczeniakiem rasy zaprzęgowej, polarnej, zwanym Szach.

W koszyku tym sypiali odtąd razem przez kilka miesięcy: najczęściej trzymając się w objęciach, lub jeden z zębami w kudłach drugiego, gdyż zasypiali często wśród igraszek, jak zwykle dzieci. Budzili się do nowych żartów, figlów i wyrwasów, turlając się po koszyku i po podłodze jak dwie brązowe kukielki z charczeniem i mruczeniem wesołem, które często przechodziło w pobekiwanie, gdy kto kogo zamocno z wesołości wyciął zębami w szynkę, lub w inne drażliwe miejsce.

Misza skrzywdzony wołał zupełnie ludzkim głosem „aj! aj! aj!” i uciekał prędko do kąta przed piecem, gdzie stawał słupka na tylnych łapkach, przednią kończyną jednocześnie bardzo zabawnie się drapiąc w uszkodzone miejsce. Miał przytem taki grymas zabawny rzeczywiście skrzywdzonego bachorka, że nie można było bez śmiechu na niego patrzeć. Po-

nieważ Szach był mocniejszy i złośliwszy, więc często musiałem stawać w obronie jego praw mniejszości i karcieć zbyt bolesne żarty, z czego Misza wziął później asumpt do uciekania mi pod nogi i obejmowania mnie za nogę łapkami w bardzo tragicznie wyglądającym, niemem wołaniu ratunku. Czynił to potem zawsze, gdy wpadł jakiś obcy pies, lub gdy wszedł ktoś nieznamy, do którego Misza nie miał swego pierwsiastkowego zaufania. Było to indywiduum o poglądzie na świat zupełnie uczciwym, nie miarkujące swego postępowania żadnymi względami rozważy, lub polityki. Gdy mu się chciało jeść, wołał o nie gwałtu, gdy sen go morzył, układał się byle gdzie na boczku, lub na płask na łapkach i i zasypiał mocno jak mały suset; gdy czego nie lubił, wszystkimi sposobami uwydatnił swoją niechęć, miłość zaś objawiał w sposób prostaczy, egzaltowany, przytłumionem wyciem, podrygiwaniem i obejmowaniem szczerem łapkami.

Obserwowałem na moich wychowancach wszystkie podstawy i zasady natury t. zw. nieśluszenie „dzikich zwierząt”. Szach był to od natury, od matki i ojca, złośliwy pies samojedzki, pomimo mojej dla niego dobroci i traktowania łagodnego, wyrastał na spokojnego, ale złego psa, nie dał się głaskać nikomu z wyjątkiem mnie i Iwana, każdą przyjaźń lub jej ofertę traktował podejrzliwie, każdego nowo-

przybyłego gościa oglądając uważnie z tej strony, gdzieby go można wyciąć.

Miałem z nim potem dużo kłopotu, gdy wyrósł, gdyż darł wszystkie psy na ulicy, napaściwał ptaki, koty, kaleczył ludzi, którzy mu się nie podobali, dawał w pojedynkę radę nawet kilku brytanom i dlatego rozmaici amatorowie walk i zapasów, gdy mnie nie było w domu, wyciągali go do rozmaitych sadów i ogrodów na szczucie innych zwierząt. Celowwał w tym szczególnie jeden z moich sąsiadów, pewien oficer, który formalnie kochał się w mordowaniu zapomocą szczucia, nazywając to polowaniem („trawla”), i nie dał sobie wcale wyperswadować, że zwierzę „dzikie” z tundry północnej może być również hodowane na istotę łagodną, pocziwą. Ukarzał go sam Szach kiedyś później, szpetnie mu pokąsawszy ręce i twarz.

Napłaciłem za tego psa moc kar policyjnych, miałem cały szereg spraw sądowych, obrzydził mi kiedyś tak, że o mało go z pasy nie zastrzeliłem, gdy z kagańcem rzemiennym na pysku w moich oczach skaleczył jakiegoś łobuza, który go zaczepił nieostroźnie, ale rozbijał mnie zawsze swoim dzikiem, psem zaiste przywiązaniem do mojej osoby. Ten drapieżca umiał tak serdecznie patrzeć w oczy, tak prosto i szczerze się przytulić, w tak nadzwyczajnie obowiązkowy sposób pojmować

swoje powołanie straży bezpieczeństwa przy mojej osobie, tak być zawsze, na każde skinienie gotowym do pełnienia wszelkich usług, że nie mogłem, nie miałem prawa nie płacić mu wzajemnością. Stróż był z niego rzeczywiście idealny, mieszkanie moje pomimo mnóstwa włóczęgów i bandytów w okolicy stało otworem z Szachem leżącym u proga i nie zginął z niego nigdy nawet guzik. Wielkie podobieństwo Szacha do kudłatego wilka z tajgi podniosło ogromnie urok niebezpieczeństwa jego postaci a mego rzekomego dziwactwa. Ten „sumaszedszy” polak mieszka z wilkiem i niedźwiedziem”.—Była to życzliwa ocena moich sąsiadów. Przyznam się, że nie tylko za tę niepodległość i przywiązanie do mojej osoby lubiłem Szacha. Był on ślicznym okazem piękna psiego. Puszysta sierć koloru ciemnego, płowego z czarną pręgą od nosa po koniec ogona, od której w boki aż do białego zupełnie zimną brzucha szło cieniowanie zasadniczego tonu włosia, ostry mocny pysk ze wspartym garniturem zębów, wielkie czarne, bezczelnie mądre i śmiałe oczy,—oczy zdecydowanego zbrojnego i zucha, świecące w nocy jak węgle rozżarzone i niebieskie prawie, gdy głowa ich właściciela leżała na moich kolanach, no i wreszcie bogata lisia kita ogona i łapy z zupełnie ostrymi pazurami. Śliczny był, gdy słuchał głosów z oddali w lesie, gdy wietrzył, co

się gdzie dzieje na świecie; nie wahał nigdy po ziemi, a—zadartszy nos wysoko w górę,—węszył górną, podskakując na łapach i strzygąc uszami jak koń. Szczekał tak, jakby płakał, to znów jakby hukał po lesie, to zadziornie, to fukająco, to tak jakoś wesoło, pochutnie, jakby wołał do czegoś, na coś, na jakoweś gody czy mocarnej krwi wylewy; na te ostatnie jednak nie odłączał się odemnie nigdy ani zbyt daleko, ani zbyt długo.

Zupełnem przeciwieństwem Szacha pod każdym względem był Misza. Wbrew wszystkiemu temu, co o niedźwiedziach piszą nawet największe powagi przyrodnicze, był to ideał łagodności, dobroduszości i wiecznej pogody życia przy jasnym, wprost głębokiem zapatrywaniu na świat. Ten tłusty, niezdarny serdelkowaty zwierzak chciał i mógł się weselić od rana do wieczora, nawet z własnej niezgrabności i fajtłapstwa robiąc sobie mnóstwo facecyi. Był brzydki, tułów miał zupełnie do grubego wałka z włosia podobny, na nim czworograniastą główkę, jedną granicą na wgiętym karku osadzoną. Oczki małe, szparkowate, kaprawe, ale wesołe, figlarne, mordka zaśliniona stale wskutek obżarstwa, opilstwa i prawie ciągłego charczenia przy wszystkich swawolach, włos skołtuniony pomimo prania, czesania i wielkiej, rzeczywiście, pieczołowitości Iwana, i cały pozadzierany ku górze, zeszczeciniony

jak u wieprzka. Co ten łobuz się od rana nie nadokazywał, zaczepiając wszystkich, aby się tylko z nim choć trochę pobawiono, choć zwróceno na niego uwagę! Gdy otoczenie na te wszystkie prowokacje okazywało się nieczułem, bawił się sam ze sobą, próbując wykonać konkursowe zdaje się, o ile nie przysłowione, zadanie gimnastyczne ugryzienia się we własny ogon, turlając się z kulą od krokieta po podłodze, lub drapiąc się na wszystkie po kolei sprzęty i meble, z których, oczywiście, prawie zawsze stale z kwikiem zlatywał.

Gdy podrośł trochę, pokonał trudne zadanie dostawania się na okno, siadywał tam często całymi godzinami, łapiąc muchy i gawroniąc się nadzwyczaj rozkosznie i gapiowato na ulicę. Wzbudzał tem oczywiście dużą sensację wśród dzieci ulicy, które całymi tłumami wystawały wtedy przed mojem mieszkaniem. Figle Miszy miały wdzięk prawdziwego dzieciństwa i rzeczywistej pustoty, było to zdrowe, jędrne i żywe, pomimo dużego brzuszka, dziecko, któremu chciało się ciągle śmiać i swawolić, bo śmiało się do niego wewnętrzne dobre uorganizowanie trawienia i krążenia krwi, całe przystosowanie zresztą do wiecznej pogody życia. Wszystkie późniejsze nieszczęścia nawet jego wynikały z tej wiecznej chęci do stowarzyszenia się dla śmiechu, dla zabawy, z poszukiwania wszędzie współczucia dla swego zapału do

wesołości. Kiedyś wywędrował aż przed bramę i zobaczył tam małego pieska z obrózką z dzwoneczkami na szyi. Czy sam piesek, czy też jego dzwoneczki tak zaintrygowały Miszę, że postanowił znaleźć się w bliższym z nimi kontakcie i pognął się za przerażonym pieskiem. Trzeba nieszczęścia, że na drodze tej fugi znalazł się otwarty kanał ścieków gorących fabryki, w którym rozpędzony piesek, czy chciał się ukryć, czy też nie mógł go przeskoczyć, dosyć że znalazł śmierć męczeńską, a że należał ten piesek bez ogona do bardzo bogatej pani jenerałowej, która była do niego (do pieska, nie do ogona) bardzo przywiązana, więc można było sobie przedstawić, co się za chryja podniosła w kulturze i inteligencji miejscowej z powodu moich „dzikich zwierząt“. Uratował mnie jednak od wyświecenia, czy też od wystrzelania domowników ogniem bataljonowym policmajster miejscowy, zapalony myśliwy i człowiek—jak się okazało—dobry, gdyż go bydładka boże interesowały i niezawahał się wziąć ich pod osłonę swoich epoletów i majestatu swej władzy. Właściwie mówiąc, to i sama pani jenerałowa nie była złą kobietą, dała się przeprosić, ukoić stratę ładnym szczeniakiem po Szachu i suczce tejże rasy, która była w posiadaniu u wyżej wspomnianego oficera, amatora łowów ze szczuciem, — no i pozwoliła się kiedyś rozśmieszyć do łez tań-

cami Miszy. Tak! Misza nauczył się tańczyć i wykonywał to tak komicznie, że można się było spłakać przy tem nadzwyczajnie. W jaki to sposób się stało, doprawdy nie wiem, i dziś pomimo wysiłków nie przypominam sobie. Pamiętam, że Iwan, samotnik i dziwak, jak i jego chlebowdawca, grał na bałajce i harmonijce we wszystkie wolne od zajęć minuty, których, dzięki mojej ociężałości w eksploataowaniu służby, miał zdaje się aż nazbyt wiele, że się z Miszą kochali nadzwyczajnie, że Misza był najpierwszym powiernikiem tych natchnień muzycznych, leżąc lub turlając się koło nóg Iwana; w jaki jednak sposób stało się, że zaczął reagować na melodie „byczka“ i „kamarzyńskiej“ podrygiwaniem na tylnych łapkach z wywijaniem przednimi łapkami i wywieszaniem ozorka, doprawdy przypomnieć sobie nie mogę. Zdaje się, że to była nauka Iwana samego, nauka za łakocie (marchew, kawałek cukru, chleb czarny z solą), bez przymusu kary cielesnej, bo Iwan niezdolny był do tego, zresztą płasanie zbyt wyraźną przyjemność sprawiało Miszy, aby miało być skutkiem jakichś bardziej ostrych egzekucji. Clou artystycznym tego popisu było to, że Misza, trzymając w objęciach pustą butelkę od wódki, pisał pod takt bałajki i śpiewu Iwana „aj, da Misza, Misza — maładiec!“

Kiedyś choroba zmogła mię i powaliła na

łóżko, na czas dłuższy. Lewe płuco odmówiło mi posłuszeństwa i wraz ze źle skoordynowanym systemem nerwowym, kazało mi boleśniej, niż zwykle, odczuwać oddalenie od ziemi rodzinnej i swoich. Leżałem samotny o zmierzchu w izbie swojej, metydując nad tem, że tam daleko nad Wisłą już wiosna idzie złotowłosa, srebrnopucha, już w bazie pewno postroiły się wierzby i słychać w opalowe zmierzchy na niebie jasnym, odmłodzonym dalekie klangory kluczków zórawi, a tu... Cicho otworzyły się drzwi i przez nie wtoczył się Misza, już wtedy roczny duży niedźwiadek, przycłapał do łóżka, obwąchał mi rękę, nogę, siadł przed łóżkiem na ogonie i zaczął ssać łapę, bardzo uważnie mi się przyglądając. Leżałem z przymkniętymi oczami, umyślnie udając sen, aby Misza się nie rozbawiał i poszedł sobie na podwórko z powrotem.

Raptem z ulicy dały się słyszeć dźwięki bałabajki i Misza, niewiele myśląc, podnosi się na tylne łapy i zaczyna dreptać swoim tanecznym krokiem przedemną, pomrukując i kołysząc głową na prawo i lewo. Jakiś ruch bardziej efektowny zapoznanego baletnika wprowadził go w zbyt bliską styczność ze stoliczkiem, stojącym przy moim łóżku, skutkiem czego ten ostatni zachwiał się w swej równowadze i runął na łeb Miszy. Potłukły się wszystkie flaszki z lekarstwami. syfon z wodą

selterską podzielił się na tysiąc kawałków, a Misza skonfundowany i przerażony uciekł na leżankę skowycząc i, zgłupia frant, znowu wziął się do ssania łapy.

Cała ta scena odbyła się bardzo szybko, tak szybko, że pozostałem tylko pod pierwszem wrażeniem serdecznego śmiechu z błazeńskiej miny nieproszonego tancerza, śmiech ten dalej nie pozwolił mi się gniewać na niego za wyrządzoną szkodę i... poczułem nagle, że jestem zdrow już zupełnie, że pogoda życia już mi wraca, że Misza z baterjami flaszek medycyny postąpił w sposób najwłaściwszy, uczyniwszy z nich kupkę gruzów.

W chwilę później dostałem list z dobrymi wieściami z domu, przyszli w odwiedziny do mnie przyjaciele i ludzie dobrzy, którym opowiadałem wesoło, jakim pysznym środkiem na nostalgię, na pogodzenie się z tundrą, północą i t. d. jest pocziwy rosjanin Misza Toptygin z jego tańcem.

Jeżeli nie należy nigdy zbyt ostro gniewać się na dzieci, bo któż się ma mylić, jak nie one wobec „nieomyślnej” dojrzałości i starości, to tymbardziej nie należy pokazywać zwierzętom zbyt surowego sądu i krytyki na ich postępkach, gdyż zwierzę często jest jeszcze czulsze i wrażliwsze od dziecka, bo nie może się nam wytłumaczyć nawet dziecinnie. Z dalekiego Wschodu, z pra kolebki człowieka Azji zawsze

do nas lux idzie. Wychowanie moich zwierzków łączyło się wtedy z czytaniem ksiąg mądrości Konfucjuszowej (Lung-Ju) i powtarzałem sobie za nim często jedno z jego przykazań. *„Pracujcie na ziemi, pielęgnujcie dobre obyczaje w sercach waszych, chowajcie wdzięczność dla ludzi, zwierząt, roślin, dla wszystkiego, co sprzyja życiu, a Niebo spłynie do Was na ziemię”*. Nie mogę się nigdy wyrzec widoku tego nieba, wspólnego dla ludzi i zwierząt razem, które nam rysuje wielki Kon-fu-tse. Nie mogę przez pamięć dla poczciwego Miszy nie powtarzać sobie, że

„Ten może deptać węże, głaskać lwy i tury,
„Kto wyrwał z siebie żądło, rogi i pazury”.

Przez jego i Szacha ze mną obcowanie, przez dziką burłacką, pierwotną duszę Iwana przychodziły do mnie złote jasne chwile wyrzekania się żądła, które wyhodowało we mnie gorzkie, czasami tragicznie smutne życie i to, co my nazywamy naszą kulturą, a co jest właściwie stałem uciekaniem naszym od przyrody w światy i widnokregi przez nas samych, dla nas samych wykoncypowane, w przemyślnie zbyt często i obłudne przestwory naszej wyobraźni. My więcej może, niż inne ludy nienawidzimy prawdy, uciekamy od niej zawsze, gdzie można, gdzie pieprz rośnie, gdzie rosną

gorzkie migdały i figi naszych złudzeń, naszych wyśnionych zaczarowych pałaców i zamki na lodzie trudnych do ujęcia biologicznego ideałów.

Misza tak często mi mówił, że „nie trzeba mieć złudzeń nie będziesz miał rozczarowań”, a mówił mi (nie sądźcie mnie według waszych zdań o błędzie) tem właśnie, że tak ciągle miał złudzenie jasne, wesołe, pogodne, a po nich takie gorzkie rozczarowania.

Z biegiem czasu, on dziecię boru i skrytego w ciemnych ostępach głuszy barłogu, stał się za silny dla swego nowego środowiska. Pieszczoty Miszy zaczęły być bolesne, uścisk jego zwał z nóg Szacha, na mnie w karesach dał ubranie. Małe zbytne łapki stały się łapami niedźwiedzia z całą ich przysłowioną dla wypadków cudzego życia doniosłością. Musiał dla bezpieczeństwa bliźnich pójść na łańcuch w ogrodzie przykuty do parkanu w miejscu zaciszem. Nudził się biedak, stękał i wołał rozpaczliwie czasami o pomoc i serce bratnie.

Raz kiedyś podszedł do zacisza Miszowego gość nowy. Wspaniały, złocistopióry kogut naszej gospodyni. Misza ucieszył się niewymownie, wypadł z pod cienia drzew na jego powitanie, rozłożył szeroko, serdecznie bratnie ramiona i porwał ogłupiałego gościa w objęcia, aby go przycisnąć do serca utęsknionego towarzysztwa i obcowania. Lecz raptem, rzuca gościa

o ziemię i ucieka do swej budy przerażony, wyjąc i skowycząc, gdyż z gościa zrobił się blin krwawy z wypadłemi kiszkami i chmurką piór i pierza.

Podobny los spotkał również później jakieś biedne prosię, które Misza zamęczył do śmierci swymi karesami, swoją zabawą i ganianiem w kółko. Trzeba już było dziatwie sąsiadów i przyjaciół wzbronić zabawy z niedźwiedziem, zamęczałem swoją imaginację wymyślaniem mu wzamian za to coraz to nowych zabawek. Najdłużej bawiła go huśtawka i duża baryłka, na której się turlał i po alejce swego więzienia łańcuszkowego i w wodzie, w kąpieli w rzece, do której go latem codziennie prowadziłem. Potrafił z tą baryłką w wodzie wyprawić takie hece, że rozśmieszał najpoważniejszych ludzi, nawet melancholików, jakim był zesłany w tym czasie do J... profesor Jakuszkina, za mowę o pra-religjach i starych konstytucjach ducha rodzaju ludzkiego. Misza starał się w wodzie wleźć na beczkę, czasami mu się to udawało, lecz nie nadługo, bo środek ciężkości zawsze był nad wodą, fikał więc kozła w wodę na łeb, wpadał w irytację, walczył z beczką, wałąc w nią jak w bęben, znowu próbował uplacować się na denku i tak bez końca. Lecz w tych harcach nie było błazna śmieszącego innych za pieniądze i oklaski i wiedzącego o tem, że jest błaznem dobrym, a był poczciwy, wiel-

ki łobuz, który się bawił całą swoją niedźwiedzią, z przeproszeniem, duszą, i zupełnie prawdopodobnie nie zastanawiał nad jakością swej śmieszności.

Wszystko na świecie ma swój koniec, szczęśliwości chwile mają, podobno, jak kije, aż dwa końce, jeden w tyle, drugi na przodzie. Mój pobyt w Rosyi zbliżał się ku końcowi i zbliżała się powoli do mnie również radosna minuta powrotu do kraju i smutna, rozstania z moimi zwierzakami i Iwanem. Gdy zacząłem składać książki, pakować broń, zbiory, zauważyłem w oczach i ruchach Szacha silny niepokój. Nie odstępował mnie ani na chwilę, zaglądał mi w oczy podejrzliwie i smutnie, rozkładał się przedemną w pozach sfinkswych na podłodze, wypatrując wszystkie moje myśli i ruchy. Co do niego byłem zdecydowany darować go Iwanowi, z którym łączyła ich przyjaźń dosyć głęboka. Iwan powracał do siebie, do Kostromskich lasów, do gospodarstwa, które dziedziczył po bezdzietnym stryju i dużo sobie obiecywał z dzielności Szacha, jako stróża. Bieda była z Miszą. Głuchy ryk niedźwiedzia, który dolatywał mnie z ogrodu, gdzie dla niego zbudowałem mocną, zaciszną zagrodę, był odpowiedzią na moje smutne rozmyślenia. Co z nim zrobić? Przez pewien czas byłem zdecydowany wywieźć go gdzie daleko w lasy i wypuścić na swobodę w miejscu jaknajmniej

załudnionem, ale wstrzymało mnie od tego przeświadczenie, że Misza, wychowany przeze mnie od szczeniaka na ludzkim chlebie, nie dał by sobie rady z walką o byt, przystosowywaniem do nowych warunków, i owa wolność byłaby dla niego straszniejszą postacią śmierci głodowej. Druga myśl była tragiczniejsza: chciałem go własnoręcznie pozbawić życia miłego, aby kto inny nie gonił go, nie tropił, nie mordował i nie zdzierał z niego futra dla łupu, dla chwały łowieckiej. Ale na to nie miałem siły, zresztą przypuszczam, że w księdze żywotów, która jest w świętych przyrody wyroczniach przechowywaną wśród zórz liljowych, nie mogłem być nigdy zapisanym jako właściciel życia Miszy, a tylko jako chwilowy posiadacz jego miłości, która jest nieśmiertelną, jak państwu zapewne wiadomo.

Postanowiłem dla niego znaleźć drugiego, może lepszego odemnie opiekuna.

Ogłosiłem w kilku pismach rosyjskich, że „jest do odstąpienia niedźwiedź cztero letni, ułaskawiony jak owca, łagodny i pocziwy, w ręce łagodne i pocziwe, za cenę zobowiązania obchodzenia się z nim po ludzku, miłosiernie, według nakazów Chrystusowych“. Ofert znalazło się, wbrew moich oczekiwaniom, nawet kilkanaście, z nich najpoważniejszą wydała mi się oferta plenipotentą milionera kupca moskiewskiego X. pana Chałturyna, który, zakładając w parku

swego chlebowawcy niewielki zwierzyńiec, zapragnął przyjąć do niego na stałą rezydencję mojego Miszę. Przyciągnęła mnie osobiście postać pana Chałturyna, sybiraka z urodzenia, człowieka, który przeszedł całą Azję w poprzek, zwiedził Kamczatkę, Japonję, Aleuty i którego myśli w sprawie zwierząt i ludzi, jak to widać było z jego prac naukowych i literackich, bardzo podobnymi były do moich chimer warchołskich.

Po jednej dłuższej „herbatce“ u mnie, po wyczerpaniu się dłuższej dyskusji, w której pan Chałturyn nie zdołał mnie nawrócić do miłości dla Lwa Tołstoja i Gleba Uspińskiego, podarowałem mu Miszę.

Stało się.

Poszliśmy do niedźwiedzia do ogrodu. Otworzyłem z klucza bramę i znaleźliśmy się wewnątrz jego zagrody. Misza powitał mnie swoim krótkim rykiem i charczeniem, przy czym jakby szeplecił popluwając się „mon, mon, mój, mój, acha, acha, achi, ochochocho“, wspiął się na łapy, ażeby mnie objąć (dostawał już mi wtedy łbem do twarzy), poczem znowu, jak zwykle, opadł na wszystkie łapy i począł mi węszyć kieszenie, wyszukując swoich stałych przysmaków.

Chałturyn, zlekka wylękniony, jak było widać z niebardzo pewnego i zdecydowanego wyrazu twarzy, został przy bramce. Przywo-

łałem go, chcąc go odrazu zbliżyć możliwie z niedźwiedziem. Podeszedł dosyć śmiało i zaczął gładzić Miszę po łbie. Misza, zwykle utny i serdeczny dla wszystkich, zaczął się niepokoić i cofać ku swojej budce, chować się wreszcie za mnie; gdy zaś Chałturyn, ośmielając się coraz bardziej, wziął odemnie chleb i posunął się mocniej ku niedźwiedziowi, ten nagle wspiął się, ryknął gniewnie, łypnął nagle i niespodziewanie oczami, które mu odrazu krwią nabiegły, i sunął ku memu gościowi ruchem tak groźnym, że ten odskoczył, jak piłka, a ja musiałem zagrozić drogę Miszy od niego. Niedźwiedź niepokoił się coraz bardziej, musiałem go wziąć ręką za obrozę rzemienną, charczał dziko i porykiwał, rwąc się ku gościowi; prosiłem Chałturyna, żeby wyszedł z zagrody i z dobrą godzinę uspokajałem niesłuchanie i niespodziewanie wzburzonego Miszę, który drżał, trząsł się, opluwał mi buty i dygotał od jakiegoś wewnętrznego charkotania, uniesienia.

Bolesny był dla mnie ten nowy odruch Miszy, oczywiście, rozbudzony jakimś przykrem dla niego przecuciem, którego było telepatycznym odbiciem zapewne uczuć moich własnych. Przychodziła do nas zmiana, nowa postać czy forma życia, nowe układanie się warunków przystosowania, ja człowiek, reagowałem na nie mędrkowaniem i politykowaniem

między rozsądkiem i uczuciem, zwierzę „dziki“ odpowiadał tylko wprost uczuciem, garnął się całą swoją istotą tylko do tego, co było pewne, dobre, bojąc się nowego życia spazmatycznie.

Chałturyn kupił klatkę dużą „wygodną“ i przyjechał w kilka tygodni potem po niedźwiedzia. Ostatnim moim obowiązkiem było wprowadzenie do niej Miszy. Klatka umocowana była na dużej płaskiej teledze, która podjechała do bramki zagrody. Z sercem głęboko i serdecznie wzruszonem ostatni raz z ręki nakarmiłem Miszę, upieściłem, wycesałem za uszami, co namiętnie lubił i sam wprowadziłem do klatki. Zrobiłem to w ten sposób, że wzięwszy go za łańcuch, ruszyłem przodem po przystawionych schodkach do klatki. Misza posłusznie, bez ociągania się i bez strachu wszedł za mną, nic widocznie nie przeczuwając. Zdjąłem mu łańcuch, obrozę, i nagle szybko, zanim się zdołał zorientować, zrejterowałem z klatki, obłudnie, po zdradziecku, jak człowiek. Drzwiczki zapadły szybko i mocno, szczerknął zatrask i zamek, Misza przysiadł popatrzał oszołomiony i nagle zaryczał takim dziwnym bolesnym głosem, że go słyszeć chyba będę wiecznie. Czułem, że przełamało się we mnie coś ze szkła, kruchego, ostrego, kołącego, lży cisnęły mi się do gardła, do oczu, łąkały w środku jakieś dawne, nigdy nie za-

cichle od dziecka tęsknoty, przytuliłem się do klatki i zacząłem memu wychowankowi odrętwiałymi wargami miamać rozmaite czułości, serdeczności, wołania umiłowane...

A ten nagle podniósł się na tylne łapy, przednie złożył jak przy trzymaniu butelki Iwanowej, i począł ni z tego ni z owego tańczyć.

Tańczył ciężko, przytupując niezgrabnie, ruszając się koszlawo, kiwając głową do taktu na prawo i na lewo i jęcząc jakoś głucho, zawodnie, obłąkanie.

Na niebie wschodziła noc biała, biała noc północna. Telega wolnym krokiem ruszyła z ogrodu. Pobieglem do domu i zakopałem się głową w poduszki, aby nie słyszeć ostatniego, rozpaczliwego ryku Miszy.

Nie żył długo. Pisywał do mnie o nim często pocziwy Chałturyn. Zabiła go „toska i złość“ gniew i tęsknota, jakieś straszne, okrutne rozjuszenie, dzięki któremu nikt nie mógł nawet zbliżyć się blisko do klatki, w której tęsknił, głucho ciągle porykujący Misza.

W kilka lat po śmierci Miszy, bawiłem jakiś czas na Pokuciu Galicyjskiem i gdzieś między Czarnohorą i Jabłonką usłyszałem cie-

kawą opowieść o niedźwiedziu z hipotezą postaci duszy niedźwiedziej.

Tyczyła się ta opowieść pewnej starej cerkiewki, nizko przypadłej do ziemi pod cieniem wilgotnym gęstej regli świerkowej, w ujściu któregoś z jarów nad Prutem, czy Czeremoszem. Umarł kiedyś jakiś bogaty hucuł, który miał wiele „banok“ (guldenów) i owiec i krów „bohato“. Było to późną jesienią, już na początku zimy. Wystawiono ciało nieboszczyka w onej cerkiewce dla duszy godnego uczczenia, ludziom wiernym na pokłony i modlitwy za zmarłego.

I stał sobie nieboszczyk, kiedyś mężny gazda górski, myśliwiec, pogromca niedźwiedzi, wilków i rysiów, w tej cerkiewce jedną noc i dzień i drugą noc, bo popa nie było, gdzieś, wyjechał daleko. W tę drugą noc przyszła śnieżycą, zamieć, zadymka, że nie daj Bóg. Obudził się koło północy stary djak, pomyślał o wypitej z wieczora wódce, za zbawienie zmarłego, obuś się, przyodział i pociągnął umęczonym, starczym krokiem do cerkiewki zobaczyć, czy żona dobrze pogasiła z wieczora wszystkie światło przy nieboszczyku, żeby się, Boże broń, gdzie ogień nie zaprószył. Podchodzi do cerkiewki, patrzy zdziwiony, że drzwi niezamknięte, coś go niedobrego tknęło pod serce, wchodzi do wnętrza, patrzy, a tu trzy świece się palą, nieboszczyk leży w trumnie

zółty jak воск, nos mu się wydłużył, skronie pozapadały, po ścianach cerkiewki chodzą ciennie błędne od migających świateł, a dzwony same podzwaniają zcicha, bo wicher je targa. Idzie djak bliżej trochę wylękły, trochę zły, że świec nie pogaszono pomimo jego rozkazu i cerkiew z ciałem otwartą pozostawiono.

Jako człek pobożny i urzędnik kościoła przystanął przy zwłokach, zaczął się modlić, odmrucał „wicznuju pamiat“, obtarł świece, słucha, ktoś sapie czy mruczy również. Zaczyna się w mrok wpatrywać, patrzy a tu z boku przed pulpitem jego własnym siedzi jakaś olbrzymia, kudłata, potworna figura. Djak zdrewniał, wrósł w ziemię, bo to był niedźwiedź, ogromny, stary, szpakowaty już dobrze Mysł z połonin wysokich, który najspokojniej, widocznie nie zwracając nawet uwagi na przybyśza, siedział sobie w kucki przed psalterzem i odmawiał psalmy za umarłego. Chce djak uciekać, nogi umarły i stężały mu całkiem, chce świece pogasić, żeby się choć w ciemnościach ratować, tchu w piersiach zbrakło. A niedźwiedź siedzi, kiwa się i mamrocze.

Jakoś po chwili, uspokoiwszy się trochę z pierwszego przerażenia, djak tyłem, tyłem a chyłkiem wydostał się do drzwi, drzwi zatrzasnął, zamknął na skobel i gorącym potem zlany pędem do wsi kuszykując. Gdy dopadł pierwszych chat, animusz mu wrócił, narobił

wrzasku, gwałtu, zbudził pół wsi, zebrał huculów ze dwudziestu z widłami, rohatynami, flintami, wreszcie z pistoletami w garściach. Powalili hurmem do cerkiewki, zapalono pochodnie, gałęzie smołne. Wchodzą tłumnie do wnętrza, niedźwiedź ani się ruszył nawet z miejsca, siedzi jak siedział, kiwa się i coś mamrocze. Głupio się wszystkim zuchom zrobiło nadzwyczajnie, pozdejmowali kapelusze, czapki i poczęli się żegnać pobożnie. Niedźwiedź też się przeżegnał i pochylił pokłonnym. Chłopi w nogi z cerkwi.

„Nielża go ruszać, wołają, to albo jest dusza zmarłego Wasyla, umieszczona w Mysiu, przyszła się modlić przy ciele o wieczne tego ciała z duszą wybawienie po sądzie ostatecznym, albo któryś z tych niedźwiedzi, z którymi się wodził kiedyś Wasyl, przyszedł się za niego modlić”.

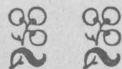
I tak rajcuja, a medytują, a trzęsą się, a niedźwiedź w cerkwi siedzi. Wreszcie djak jako osoba duchowna i uduchowiona, zaproponował, aby strasznego psalmistę z cerkwi wyświęcić dzwonieniem i kropieniem wodą święconą. Bicie w dzwony pomogło o tyle, że niedźwiedź ruszył się z miejsca, wziął krzyż złożony w przednie łapy i tak ruszył przez cerkiew ku wyjściu. Huculi opuścili broń, jeden, drugi przyklęknął jak przed popem, a ten z cerkwi krokiem majestatycznym, powolnym,

w opłotki i dalej w las, w regle i śladu po nim nie zostało.

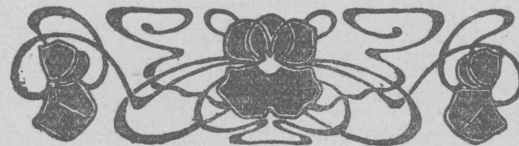
I wszyscy potem nie wiedzieli, czy to sen, czy jawa, czy przeobrażenie widne. Aliści w parę godzin przyszła wiadomość, że paroch tej cerkwi, który wracał skądś przez góry w czasie tej śnieżycy i tej nocy, opity i najedzony po imieninach utknął w jakiejś opuszczonej bacówce na hali i przespał noc w niczem innym, jak w opuszczonym, ciepłym jeszcze barłogu niedźwiedzia.

Huculi uwierzyli, że niedźwiedź poszedł wyręczyć ułomnego człowieka w jego obowiązkach względem człowieka, który często niedźwiedzi dobytkiem swoim żywił.

„Bo dusza niedźwiedzia, mówił stary Hryć lepsza od człowieczej. Zawsze płaci stare długi“. Utkwiło mi to w pamięci, bo jestem przekonany, że gdy będę umierał, Misza przyjdzie do mnie jeszcze zatańczyć ostatni raz.



LUDZIE BEZ PASZPORTÓW.



Pewna kupcowa z Kaługi nie chciała uwierzyć, że już w Buchs nad ranem przejechała z całym wagonem granicę Szwajcarji.

— Cóż to za granica, proszę ja pana, gdzie ani o paszport nie pytają, ani rzeczy nie rewidują?—żałowała się zdziwiona niesłychanie,—oczywiście zupełnie słusznie, gdyż na stacji tej nie było ani jednego uzbrojonego przedstawiciela władzy polityczno-państwowej, a grzecznego spaceru uprzejmego celnika po wagonach z pytaniem o ilość przewożonych cygar nie można przecież porównać z pieczołowitemi oględzinami manatków w Aleksandrowie lub Granicy. To co kuzynkę Merkurego tak bardzo zadziwiło po przejeździe granicy helweckiej, jest właściwie treścią całej charakterystyki Szwajcarji, i jako kraju i jako państwa.

Nikogo tu o nic nie badają, niczego mu nie przetrząsają, ani nie wytrząsają, nikogo o nic nie pytają. Przyszedłeś tu? dobrze, żyj sobie, jak ci się podoba, bądź gościem dobrym

i pożądanym w tym cichym kraju, zażywaj wczasu, ducha i życia, — abyś tylko nie mącił spokoju i ładu publicznego. Wtedy rozmówi się z tobą policjant, który dla niegrzecznych wcale grzecznym nie jest i tęgiej szwajcarskiej pięści przy wykładzie prawa policyjnego wcale nie zaniedbuje. Pewien słowianin, który na dworcu Zurychskim zaczął dość ordynarnie — rzeczywiście — wymyślać matce Szwajcarji za brak odpowiednich dla niego posługaczów kolejowych na dworcach i besztac mitygujących jego patos urzędników, został tak fatalnie przez jednego z nich w końcu skarconym niepolitycznie, że trzeba go było na opatrunek odwieźć do szpitala, a do protokołu do konsula odpowiedniego.

Szwajcar subtelny w rozumowaniu nad „Ausländerami“ wogóle nie jest, ma swoją chłopską dobroć i prostotę, dla wszystkich jest jednakowo życzliwym i ma rację pragnąć życzliwości od wszystkich, którzy do niego przyjeżdżają. Podrażniony i obrażony jest groźnym — jak chłop mocny i mściwy, — potraktowany szczerzej, jest dobry i łagodny jak jagnię, przyjazny jak dobry, duży pies z gór Św. Bernarda. W jego ojczyźnie nie trzeba paszportów — dla człowieka oczywiście, tak jak niepotrzeba mu ceł ochronnych dla obrony swego przemysłu i handlu. A jakże wielką jest życzliwość tych ludzi dla wszystkich, którzy, przychodząc

do nich, mają zamiast paszportu otwarte, dobre serce i duszę serdeczną, duszy ludzkiej ciekawą! Czy potrzeba przypominać przyjęcie Kościuszki, stosunek naszego „naczelnika“ do tego kraju, który nazywał on swoją drugą ojczyzną?... Jak się Szwajcar potrafi wzruszyć cudzą niedolą, z jaką religijną modulacją te swoje — „ach! so! so! — och! Herr Je!“ — wypowiada w trakcie takiego opowiadania! Najwięcej go oczywiście wzruszają i przykuwają do siebie walki o niepodległość, krwawe zapasy rąk bezbronnych, nóg przetrąconych, — przesmutne krajobrazy ziemi, gdzie „dziobią nas kruki, wrony“. Srogim wtedy staje się wyraz twarzy potomka bohaterów z pod Sempach i Näfels, zaciska pięście, mruczy coś niezrozumiałego pod nosem, raptem chwyta waszą prawicę i serdecznem, aż do mocnego bólu gwałtownem uściśnieniem waszej dłoni zamyka kwestję bolesną. A patrzy w oczy wasze tak pocziwie, tak błagalnie wprost, jakby przeproszał Was za to, że Wam nowej całkiem świeżo odrestaurowanej — jak jego wirtschaft — ojczyzny ofiarować zaraz nie jest w stanie. I zrobiłby to, gdyby mógł naprawdę. Jego pragnienie dobra i szczęścia dla bliźniego — doprawdy — nie jest zdawkowe. Jego nikt nie chciał salonowo, nie uczył konwenansowych uprzejmości i komplementów, a mówi to sam ze swego wnętrza, w którym Chrystus często

gości. Ten jego rudowłosy, wychudły bardzo, długoręki od wiecznego trzymania dłoni błogosławiających nad ludem, Chrystus, — jakiego oni imaginują? czy to w poblakłych obrazach ubogich kościółków kantonów Glarus i St. Gallen, czy to w rzeźbach na samotnych cyplach nad jeziorem, jak np. koło Hertensteinu nad brzegiem fjordowego stawu Czterech kantonów. Często tutaj spotkać można ludzi z twarzami istic Chrystusowemi, jakie musiał widzieć [chyba Munkaczy, gdy malował swego Chrystusa przed Piłatem.

Są to nauczyciele szkół ludowych z miejsc odludnych, nadziemnych, przywykli do mówienia przez całe życie prawdy gołej w najdosłowniejszem znaczeniu, nierozmienianej na żadne zdawkowe monety, — pasterze żyjący z dziką, halną naturą i swemi własnymi westchnieniami, ubodzy lekarze wiejscy, wiecznie zmęczeni komisjonerzy, ubodzy rolnicy i t. d. Mają oni w oczach tę gołębią prostotę, a na ustach ten uśmiech dziecka, które otwierają ściężajem wszelkie ludzkie wrota duchowe. Ciężki i twardo wystawiający się chłop ze Szwycu lub Uri staje się wybornym kaznodzieją, przywdziawszy kaptur mnicha. Zupełnie inną treść i sens zda się mieć Ewangielja w ustach tego pasterza; — wtedy przypominasz sobie, żeć ją przecież układali również prości, jak on, rybacy z nad brzegów Gienezaretu.

Widziałem pewnego, silnego i mocnego jak tur Heiba, który płakał razem z biedną polką, mającą w domu biedę i męża suchotnika, a który w parę minut po śmierci ukochanego syna-jedynaka poszedł najspokojniej ze zmartwiałą twarzą plec swoją winnicę. Zdziwiła mię jego twardość, pytałem dosyć okrutnie, czy go nie boli, odrzekł mi, że niewypada mu boleć nad sobą, bo synowi już jest lepiej. Dla pełności jednak obrazu dodać muszę, że wieczorem spił się jak bela i pijany jeszcze był dwa dni po pogrzebie.

Zalewają robaka tutaj zupełnie w taki sam deseń i sposób, jak i u nas — jak i wszędzie zresztą, gdzie człek pierwotny, szczery ma co do zalania i brak innych, postępowych sposobów ulgi.

Gadaj pijakowi morały, a on Ci zamknie usta jednym zapytaniem, co mianowicie wart taki człowiek, co się nigdy z bólu, żalu, czy radości nie upił?

Gdy pewien student polak zachorował zbyt mocno zimą na nostalgię, jego przyjaciel, gospodarz domu przyszedł do niego odrazu z lekarstwem pod pachą. Była to kwartowa butla bardzo mocnego wina, którą tenże (lekarz z zawodu i umiłowania) starannie wypróżnił w obolałe tęsknością polską wątpia pacjenta i przyjaciela. Życzyć choremu pogodnej i nie-męczącej śmierci nie sprzeciwia się tutaj wca-

le regulaminowi dobrego tonu. Przyznajcie chociażby tyle, że jest to cokolwiek uczciwsze, niż nasze pocieszanie z twarzą pełną rezygnacji urzędowej, karawaniarskiej, lub upewnianie nieszczęsnego agonika w tonie filuternym, że wygląda różowo, jak nowonarodzone dziecko.

Kultura, przerafinowana egoistycznie stwarza różne gadki o prawdzie, o jej wartości w danej minucie, o jej użyteczności i przyjemności dla rozmiłowanego w swoich pomysłach i fizycznych wygodkach potomka grzesznego Adama i Ewy. Szwajcarowie zupełnie się na takiej subtelizacji prawdy nie znają i dlatego robią wrażenie gburów i słyną u „hrabiów północy“ jako chamy. Oczywiście, ich kultura chłopska, trabancka nieposiada legitymacji dworskich; od czasów Morgartenu, Sempach i Näfels przeciwstawiali oni kulturze rycerzy i panów swoje chłopskie, zwyczajne prawa do życia. Stali przy nich twardo, zniechęcając się słusznie do wszystkiego, co pachniało dworem lub dworskością. Twarda, bezpłodna ziemia rodzinna ze skał gołych, twarde surowe życie wyrabiało ludzi twardych. Jakże dziwnie rozumieją te stosunki ci, co pozwalają sobie na wyrzucanie Szwajcarom najemnictwa wojennego, sprzedawania swego ciała, krwi i sumienia za pieniądze! Równie dobrze powinniśmy mieć pogardę dla ubogich obieźysasów, którzy za

pieniądze oddają pruskim panom swój pot, krew, imię „polskiego bydła“, równie dobrze mieć prawo do ironizowania pod adresem wszystkich emigrantów do Ameryki, lekceważyć przemysł wychodźczy. Najemnik może się na obczyźnie najmować do tego, co potrafi dobrze robić i w ojczyźnie (mazur do prac rolnych, podhalanin do kośby łąk, kurp' do leśnictwa); góral szwajcarski umiał jedną rzecz dobrze, mianowicie „prac“ zacząć, jak mówili panowie Kremlicze. Nauczy o go tego życie, z tem szedł na zarobek. Ażeby wyżywić tych, co pozostali w chacie szerniejszej od burz, wichrów i skwarów na heban lśniący, trzeba było młodemu zuchowi przyjmować wraz z żołdem i cudze wymogi, cudze antypatje i cudze miłości. To jest ciężki mus każdego najemnika, a dla biednego i głodnego ten jest lepszy, kto daje żołd większy. Gdzieindziej wszak uprawiano rzemiosło żołnierskie dla honoru, dla fantazji, dla próżniactwa, dla pociągu do łupiestwa, bójki i znęcania się nad słabym i to wszędzie na zachodzie i wschodzie uważane było za coś arystokratyzującego pochodzenie, lepszego, za coś, co „robiło historję“. Taką fabrykacją imienia i pozycji zajmowały się bez żadnej potrzeby ewolucyjnej nietylko pewne kasty i stany, ale czasami całe państwa, ba! nawet ludy. Szwajcarowie zajmowali się najemnictwem wojennem tylko dla chleba, a że wkła-

dali w to zajęcie więcej honoru i uczciwości niż inni, świadczy o tem chociażby ów lew lucerneński, ów słynny pomnik, pomysłu Thorwaldsena.

„*Helvetiorum fidei ad virtuti*“, napisali na nim ofiarodawcy francuzi, przekazując potomności na wieczną chwałę imiona tych, „*qui ne sacramenti fidei fallerent, fortissime pugnantibus ceciderunt*“.

Opuścił króla naród, gdy przyszedł do niego tłum proletariuszów i przekupek na „porachunek“, uciekli przyjaciele blizcy, domownicy, odstąpili go własni zaprzysiężeni nietylko przysięgą, ale i imieniem narodowym żołnierze. Nie odstąpili go jednak najemnicy, trabanci szwajcarscy.

— Idźcie precz stąd—woła do nich uzbrojony w drągi, widły, noże motłoch uliczny — co tu macie za interes przy tej bramie, tu naród wolny przyszedł załatwić porachunek ze swym tyranem, Wam nic do tego! —

— „Owszem, ten tyran nam płaci żołd za swoją obronę, za obronę i bezpieczeństwo żony swej i dziatwy i my mu daliśmy słowo wierności. Przyjdźcie za tydzień, gdy nam się skończą nasze kontrakty, a zmienimy z wami wartę południową i wszystko będzie w porządku“. —

— Nie tak być nie może! —

— My zaś nie możemy inaczej. —

Od słowa do słowa przyszło i do czynu

i ostatni z 26 oficerów legł, zasłaniając piersiami drzwi do pokoju Maryi Antoniny, a zmasakrowane przez tłum paryski ciała 760 żołnierzy gwardji szwajcarskiej chlubnie zaświadczyły historii ludzkiej, czyje słowo było mocniejsze.

Działo się to w Tuillerjach dnia 10 sierpnia 1792 roku.

Francuzi w kilkadziesiąt lat grubo zawstydzili się swego czynu i wskutek tego powstał ten bardzo pedagogiczny pomnik.

Umyślnie użyłem tego przymiotnika dla określenia wartości plastycznej myśli, zamkniętej w tarczy z herbem Szwajcarii, bronionej przez konającego, przebitego grotem lwa, gdyż przypomina on mi bardzo pewien wypadek, który głęboko wzruszył pewnych gości z nad Wisły.

Do pomnika ze śpiewem chóralnym, odkrytymi głowami i nastrojem pobożnym podchodziła wycieczka chłopców z któregoś z kantonów południowych. Zaległa cisza, profesor czy przewodnik rozpoczął mowę uroczystą. Raptem wybuchnął z gromady spazmatyczny serdeczny płacz chłopca.

— Czego płaczesz dziecko?

— Tam... tam... między nazwiskami pod lwem jest wypisane Forestier de la Ville, ja się nazywam Forestier de la Ville, mój Boże, jakież ja jestem szczęśliwy!

Goście z nad Wisły spojrzeli po sobie, a jeden z nich szepnął:

— Jaka to szkoda, że u nas niema takich pomników.

— Są za to inne — rzekł drugi.

Drugi paszport międzynarodowy Szwajcarów, to mogiły poległych w Sempach, cmentarz, ogródek, istne pieścidełko. A w środku niego rów z pokrzywami, ostatni i kupą kamieni, grób podobno szwajcarskiego Efejtesa. Tu każde dziecko, które chodziło po cmentarzu z odkrytą główką uroczyście, wkłada szybko swoją czapkę, odwraca się, spluwa lub rzuca kamieniem, lub w jakikolwiek inny sposób stara się pokazać swoją pogardę dla zdrajcy, czy nieszczęśnika. Pomyślcie, to uczucie ma już przeszło 500 lat i zawsze jest młode w tym narodzie, z mlekiem już się daje ssać uwielbienie dla Tellów i Winkelriedów, a pogardę dla Efejtesów (nie wymawiając nigdy jego imienia i nazwiska i to jest może jedynie miłosierne).

Na mocnych szczerych i prostych refleksach opiera się tu indywidualizm narodowy, może zbyt gorąco szczepi się dziecku jego zbyt mocne surowice, ale one nie psują ogólnoludzkiej konstrukcyi duchowej dziecka szwajcarskiego. Szwajcar emigrant, czy kolonista potrafi być wiernym i pożytecznym swojej drugiej ojczyźnie i my coś o tem wiemy przecież.

Ponieważ poczucie honoru i słowa uważa

za swój monopol w Europie szlachta, więc powiem, że ta chłopska rzetelność, uczciwość i obowiązki dotrzymywania słowa są więcej szlachetnemi, niż szlacheckie atawizmy u wielu ludów.

Szwajcarowie nie znają detaliów ustosunkowania ludzkiego, jak pożyczanie kilkunastu rubli na słowo honoru, nie uznają pojedynków („dla jednej strony on jest zawsze głupstwem, a dla drugiej grzechem“), nie uznają bezwzględnie niczych praw do próżnowania i żebractwa pokątnego czy społecznego. Dla takich stoją zawsze otworem Armen und Krankenhausa.

Paszportem Szwajcarów wewnętrznym, krajowym, paszportem narodowym jest praca, praca żmudna, nieprzerwana, systematyczna, trwała i płodna. Umieją pracować tak pogodnie, cicho, równo, że robią wprost wrażenie konspiratorów, zaciętych spiskowców przeciwko naturze.

Cała ich ojczyzna jest jednym tego spisku na życie efektem. Przewiercone niesłychaną ilością tuneli prostych i krzywych góry i skały, wiszące i stojące nad przepaściami i dolinami mosty, koleje zębate, „drucikowe“ wyciągi (Seilbahn), tunelowe galerje nad przepaściami (Axenstrasse), wyłomy, tamy i szluz na jeziorach, osuszające mokradła i pleśniejące jeziora kanały (Escherkanal), uregulowane rzeki, zatrzymane umiejętnem rozprzestrzenianiem

lasów lawiny, unieruchomione ruchome posuwające się góry (Zurichberg przez prof. Heima), wszystko to są trofea zwycięstwa nad dziką nieokiełznaną przyrodą człowieka, wytrwałego spiskowca. Kuje on swoim kilofem cierpliwie mrówcze szlaki po manowcach, którymi ongi tylko wicher skalny chadzał, dłubie dziurki i szparki dla przejść i dróg burżuazyjnej i artystycznej ciekawości, która tutaj w te jałowe zupełnie pod względem bogactw mineralnych skały, swoje franki przynosi.

Potrafili Szwajcarowie wyzyskać w celach zarobkowych piękno swojej ojczyzny nie tylko w sposób eksploatacyjny. W niektórych miejscach to piękno nawet podnieśli przez swoje artystyczne poczucie w robocie.

Dla przykładu weźmy choćby taką Axenstrasse, Furka, i Grimselpasy, malowniczość osiedli Szwajcarskich na zboczach gór niedostępnych na pierwszy rzut oka, lub we wnękach rozpadlin i przełomów skalnych.

W krajobrazie szwajcarskim nic nie razi, niema banalnych gwazgań lub ordynarnych linii poprawianej ręką głupca przyrody, most zlewa się ze skałą, z której wisi nad przepaścią, w jedną całość, tunel wygląda jak grotę lub szczelina, łąki z drzewami, owocowemi wyglądają zdala jak poręby leśne lub jak sawanny na tarasach gór lub ich zboczach.

Gdzieniegdzie duma ze zmarszczoną brwią

szczerniałego od lat i dymów okapu dom zgrabny, lekki, z wielkich bierwion, lub belek ciosany. Ten Froheim w tęczowe połyski wyszlifowanego przez słońce, wody i wichry drzewa kryjący swą opaleniznę życia i brązowy ton starości, rozbrzmiewa gwarem pracowitego życia już od rana wczesnego. Lecz ton i głos tej pracy jest pogodny, wesoły, niema w nim nic z musu, nic z przemocy. Buchnie czasem z przed tego domu jaki wesoły „Holdryjoch“ młodzieńczy, rozplynie się po gaju lub sadzie w echach rozłkanych piękna „Jodelnlied“ ze swymi flażoletami i falsetami, zaszczebiocze gwar dziatwy, powracającej lub idącej do szkoły. Pracuje tam od rana człowiek stary i młody, pracuje dziecko sześcioletnie, uczące się już w szkole początkowej bawić się rozsądnie i pożytecznie, pracuje krowa, ciągnąca po hali sadu beczkę z rozlewającym się nawozem płynnym po trawie, pracuje pies podwórzowy, pociągnął on z panem swym wózek do miasta. Pracuje woda drobniutkiego strumyczka górskiego, obracająca przy domu turbinę kilku rzemieślnikom, pracuje wiatr suszący praczce bieliznę, farbiarzowi tkaniny a rolnikowi torfety, pracuje słońce dozierające winnice i sady wiśniowe, morzące snem pachnącym cudnie traw bujnych pokosy i złocące wszystko glorią życia i pracy. Jakiś bolesny wstyd ogarnia próżniaka z musu czy przypadku, gdy się w sło-

necznym pyle czy kurzu tego Heimatu Szwajcarskiego znajdzie. Mimowoli zadaje on sobie pytanie, dlaczego ci ludzie zlaní potem taką cenną drogą okupują dzień dzisiejszy, czy jutrzejszy, a ja, oto, jestem jakimś pieszczochem losu i zaglądam im w lice, dusze i brzuchy? Z wesołym i rubasznym uśmiechem odpowie ci na to Heib piegowaty, z łapami i stopami jak łopaty od torfu, że praca przecież nie jest wyrobkiem życia, a zapłatą za życie i jego istoty równoznacznikiem.

— A ten pan, co tam siedzi pod tym ogromnym parasolem, przy stalugach (może jaki nowy Böcklin albo Segantini) czy on też pracuje? —

— Ach! so, so... on robi piękne rzeczy, on robi ludzkie piękno, to jest też bardzo potrzebne, to podnosi duszę w człowieku takie natury pomyślenie, to robi życie nasze bardzo, bardzo ciekawem. So!...—

— No, a czy śpiewając tylko jak ten konik polny z bajeczki, którą Wam czytała wczoraj wasza Sophili, można być użytecznym?

— Aber jo, jo, ale trzeba umieć śpiewać ładnie! Wy ludzie z nizin nie umiecie tego boskiego daru głosu używać, jak się należy...

To mówiąc rozdarł się takim strasznym „jodłowaniem“, z pianiem koguta i wyciem wichru w starej trąbie, że niżej podpisany od-

razu zrozumiał jaka jest różnica pomiędzy jego gospodarzem, a słowikiem naprzykład.

Niema tu kast i stanów, więc niema wymyślenia jednej kasty na drugą za zgubienie ojczyzny, nie słyhać tytułowania się zdrajcami, nikt do nikogo, ani do niczego „precz“ nie woła, ani też paszportów prawomyślności narodowej nie rozda. A ludzie ci jednak krzywd w życiu i ludzkim i narodowym zaznawali dużo, kłócili się ze sobą i darli w minutach rozbudzonych namietności i przeczulenia spraw lub interesów jak ludzie, spierali się o dogmaty, o prawdy, o twierdzenia. Były tu i wojny religijne i walki reakcji z postępem i życiem, były kłótnie rodzinne i spory majątkowe (np. wojna kantonu Gienewskiego z kantonem Vaux o pastwiska), bywają i tu rozmaite krzywdy i nieporozumienia, gdyż Szwajcarowie, jako naród chłopów, mają pewną skłonność do pieństwa, jednakowoż nigdzie prawie bardziej zgodnych stosunków nie zobaczysz.

W kantonach niemieckich prawie każde miasteczko ma dwa kościoły, luterńskiego i katolickiego wyznania dla dwuwyznaniowej ludności, która żyje ze sobą w najlepszej zgodzie pomimo to nawet, że szkoły początkowe tutaj są wyznaniowe i znajdują się pod opieką wyłączną kleru.

Spory w tym warsztacie społecznym i państwowym mają często znaczenie doniosłe dla

całego świata. Kanton jeden bardziej przemysłowy i radykalny od innych wywalczył sobie już przed 25 laty 8 godzinny dzień roboczy według programu partyjnego. Czy wiecie, kto przeciwko niemu w niespełna rok z turją zaprotestował?... Żony, matki i siostry robotników, często same robotnice. Najpoważniejszy zarzut (sprawy ostatecznie przez kobiety wygranej) był ten, że ich kochani małżonkowie, synkowie i bracia przy tak silnie skróconym dniu roboczym zawiele czasu mieli na frekwencję wirtshaftów, inspekcję szynków i zajmowanie się polityką wiecową, co im stanowczo szkodziło na zdrowiu, a co za tym idzie szkodziło rodzinie, domowi, kantonowi.

Bywały tu i rewolucje niewielkie czasami. Kiedyś w okolicach Zurychu ludność zbojkotowała pewną gałązkę kolei żelaznej za niewłaściwy według jej mniemania kierunek. Zmalretowano dwie stacje kolejowe, rozebrano szyny na przestrzeni kilkudziesięciu sążni, zbombardowano kamieniami wagon nadjeżdżającą władzy kolejowej (nie skaleczono przytem i nie obrażono ani jednego człowieka), no i wreszcie trzy wsie rozsiadły się z bachorami i betami na torze nieszczęsnej kolei, proponując rozpoczęcie ruchu lokomotyw po ich doczesnościach.

Musiał wreszcie do rozjuszonych Helwetów wyjechać z Bernu sam pan prezydent Rzplitej, który, przybywszy na miejsce wypadku bez

żadnej, ale to literalnie bez żadnej eskorty cywilnej ni wojskowej, wlaźł w środek tłumu, gdzie było najwięcej niewiast i tak słodko mówił przez 3 kwadranse, że tłum najspokojniej rozszedł się do swych domostw, wykonawszy parę głośniejszych owacji na prefit mądrej i spokojnej władzy kraju. Niepotrzeba dodawać, że prawo życia nowej kolei uznano, żyć jej pozwolono i nikogo do odpowiedzialności nie ciągnano. Że pragnienie potem było większe i sportrzebowano większą ilość garncy nektarów, to przecież i „Mahomet, choć wino ganił, niezapomniał spać się czasem i pijany z prorokami śpiewał sobie grubym basem” rozmaite „hol di ridi — hol dryjoch“ helweckie.

Co się tyczy uczciwości szwajcarskiej, to dużyby o niej mógł powiedzieć ten, co się nie będzie obawiał powtarzania rzeczy znanych i odświeżania choćby Baedekera. Niżej podpisany był świadkiem przejmującego zachwyty w Rapperswilu Bolesława Prusa, który — jak wiadomo — często był u nas sumieniem narodowem. Był tam w Rapperswilu przed ratuszem taki nieduży słupek, na którym woźny czy policyant składał rzeczy zgubione i znalezione w mieście na ulicach. Otóż przez kilka dni leżała na tym słupku złota dwudziestofrankówka i wreszcie zabrano ją „na ratusz” z powodu niezgłoszenia się prawego właściciela. Zachodzi pytanie z matematyki, w jakim stosun-

ku do czasu leżenia tej złotej monety znajdował by się czas spoczynku srebrnej 20 kopiejówki na takimże słupku na placu Teatralnym np. miasta Warszawy? Kto chce, niech zgaduje, — myśmy rozwiązanie mieli w zachwycie wielkiego polskiego pisarza i w jego niemym smutku potym.

Oczywiście życie ciągle idzie naprzód, w Szwajcaryi dużo rzeczy się zmieniło, jednych na gorsze, drugich na lepsze, jednakowoż tylko w Szwajcarii jeszcze bywają takie święta, jak np. biała chorągiew na więzieniu Zurychskiem na znak, że w niem niema ani jednego więźnia tego dnia. Życie z gości, przyjezdnych, zarobek z sezonu włóczęgów, chorych i poszukiwaczy spokoju musi wpływać na rozwijanie się łapczywości, chęć wyzyskania momentu, pogody, popytu. Niemniej przeto nad komfortem i higieną nietylko ubikacji, ale i rachunków i stosunków do gości czuwają całe korporacje hotelarskie, nad wszelkimi ulepszeniami i ułatwieniami przybyszowi pobytu tutaj czuwa prawie cała Szwajcarja.

Tem się tłumaczy gościnność i uprzejmość jej nawet dla anarchistów wszelkiego typu, których karny i ścisły nawet w czynach rewolucyjnych republikański helwecki wcale nie rozumie, stąd wypływa pozorna bierność sympatji narodowych i brak rozróżniczkowania dla kast

i narodów. Wykwitny hotelarz Schweizerhofu (najdroższe hotele), obsługujący lordów i bankierów, gdałający po angielsku wprawnie, różni jednak ludzi doskonale i grubo inteligentnemu anglikowi nadzwyczaj prosto i antropogeograficznie wyłożył różnicę między rosjaninem a polakiem ku nadzwyczajnemu tegoż anglika zdumieniu, gdyż ten o Polsce wiedział tylko tyle, że z niej pochodzi Mister Paderewski.

Ucziwość jest podstawą wychowania szwajcarskiego, którego teorię uzupełnił Pestalozzi, ale którego practicum stworzyła wioska alpejska. Boć przecie daleko ważniejszemi od morału nauczycielskiego, czy rodzicielskiego są nieogrodzone nigdzie w niemieckiej Szwajcarii ogrody i sady owocowe, w których obcy i zginiętego jabłka z ziemi nie podniesie, takie złote 20 frankówki na słupkach, szwajcarski Daheim no i lew lucerneński. Daheim rozwija indywidualizm narodowy i społeczny nie sztucznymi zastrzyczkami wykoncypowanej pedagogiki, a ciągłością pocziwego, prostego, a serdecznego życia tych górali, przy którym dziecku się powtarza nie „ty musisz być taki a taki“, — a „czy chcesz Hansie być takim dobrym, jak twoje dziady?“. Tutaj jest ten pierwotny kult „Dziadów“, z którego ciągną soki pierwsze uczucia religijne, tak bardzo narodowe. Gdy się takiej wiosce wysokiej, na odludku leżącej, dobrze

przypatrzysz, jakże wiele podobieństwa znajdziesz pomiędzy nią a naszym Zakopanem, właściwiej pomiędzy tem, co w Zakopanem znaleźli jeszcze Dr. Chałubiński, Dr. Matlakowski, Ks. Stolarczyk i Stan. Witkiewicz. Nie mówiąc już o tem, że Jaśkowi Gąsienicy — Odedrogi odpowiada geograficznie Hans Gärtner Zurmühle, a Obrochcie Grodzkiemu — pan Forestier de la Ville, tak wiele tej wspólności we wszystkim, — w ustroju gromadzkim, w stosunku do przyrody, do brata człowieka, do Boga i wieczności i t. d., że mimowoli zaczynasz szukać w wiosce Heibskiej nowej przypominanej rzeczy, czy jej rysu z Zakopanego — i znajdujesz go. „Guide“ szwajcarski ożywiony i rozruszany opowiada również Sabałowe bajki o głębokiej starej, przedziwnie pięknej treści; góry tu również mają swoją przebogatą mytologję, a ludzie swoje pieśni zbójnickie; — głuży je wolno, cicho a sumiennie (jak i wszystko żywiołowe i pierwotne) kultura i przystosowywanie się do życia zmiennego i nieprzejeđnanego.

Szwajcarja — przytułek niegdyś chłopów jurnych, tęgich i mocarnych, którzy uciekali w niedostępne jary i wyże przed panami, przed ich „jus primae noctis“ i „jus ventris“, dziś jest przytułkiem również wszelkich uciekinierów. Poza emigrantami i bezpaszportowcami politycznymi gości tu nadzwyczaj dużo takich, co uciekają od swoich, — są i tacy, co uciekają

od samego siebie. Dla tych ta ziemia jest wymarzoną lecznicą, cudna przyroda każe zapominać o wszelkich brzydotach i plamach życia, a prostota, spokój i obiektywność we wszelkich stosunkach jej mieszkańców robią to, że człowiek, który nigdzie nie mógł „przyjść do siebie“, tutaj przychodzi do ciszy i uspokojenia i znajduje tam wreszcie trochę siebie. Szwajcarja ojczyzna Rousseau'a i Boecklina, Pestalozziego i Heima jest ziemią Chananejską. Przychodzi tu artysta, aby ucieszyć zmysły i podnieść napięcie czujności estetycznej, przychodzi tu tułacz, aby — jak Kościuszko — znaleźć ukojenie i drugą ojczyznę dla serca, przychodzi człek myślący, aby ostatecznie, naprawdę ukochać ziemię.

Pewnego dnia, skorzystawszy z protekcji pewnej, malutkiej Sophili, która mnie zarekomendowała nauczycielce — swojej ciotce, dostałem się od samego ranka do szkółki początkowej w dość wysoko i odludnie położonem miasteczku w kantonie Uri. Szkołka ta (Primarschule) zajmowała — oczywiście — najładniejszy dom w mieście, zupełnie oddzielnie od wszystkich innych stojący, z czterema frontami na cztery świata strony, ocieniony przez ogromny dąb, który strzegł głównego wejścia. Przyszedłem dosyć wcześnie, usiadłem na ławeczce

pod dębem i wyczekiwałem przybycia dziatwy do szkoły. Po paru chwilach zaczął drobiazg wszelaki płynąć ze wszystkich uliczek i zaułków we fioletowym cieniu wczesnego ranka spoczywającego jeszcze miasteczka. Jedne dziatki wędrowały same z tobołkami pod pachą i koszyczkami w rączkach, drugie odprowadzało starsze rodzeństwo, wędrujące również z torni-nistrami dalej do swojej szkoły,—najciekawsze były jednak te tak przezwane przezemnie pensje. Chłopczyk ze starszej klasy gimnazjum przyprowadzał w pary porządnie i karnie uszykowaną gromadkę z kilku lub kilkanaściorga dzieci obojga płci, wpuszczał taki pluton we drzwi szkoły, coś im krzyknął na pożegnanie w podwójnym szwajcarskim i sztubackim żargonie i pobiegł dalej szybko, do swojej szkoły. Okazało się, że w miasteczku, gdzie suną po ulicach ze znacznym spadkiem ciężkie ładowne wozy, pędzą samochody i cykliści, dzieci drobne muszą być odprowadzane i przeprowadzane ze szkoły do domu i zpowrotem.

Matki są od samego rana zajęte pracą przy gospodarstwie domowym, więc nie mają na to czasu,—czynności tej bony podejmuje się zwykle chłopiec starszy i rozważniejszy za wynagrodzenie odpowiadające naszym korepety-cjom, który rankiem zbiera drobiazg z kilku domów, dając im znać często o swoim przybyciu do bramy śpiewaniem lub gwizdaniem u-

mówionem i—sformowawszy w szyk pochodowy milusińskich — wiedzie ich bardzo solidnie do szkoły. Trzeba przyznać tej bonie ogromnie dużo pocziwości i uczciwości w traktowaniu obowiązków przy znacznej dozie humoru pedagogicznego. Nawet lekkie i niekosztowne szturchanie i klapsy takiego opiekuna mają swój dość duży urok, gdyż pomimo to dziatwa ma do niego—jak się żaliła sama pocziwana nauczycielka—często daleko więcej ufności, sympatji, niż do niej, która „nie szturcha”.

No, ale już jesteśmy w klasie. Panna Marta—nauczycielka siedzi przy dużej miednicy z wodą, ma zakasane rękawy bluzy, duży fartuch, trzyma mydło i gąbkę. Następuje jeneralna rewizja higieniczna. Małe bachorki podchodzą, trzymając rozczepierzone rączki otwarte i podniesione do góry, wykręcając buzię to na lewo to na prawo. Niektórzy przytem wywieszają języczki. Nie jest to—jak się okazało — żadna owacja, lecz sprawdzanie stanu trawienia, postawionego w stan wątpliwości wskutek zachowania się właściciela języka dnia poprzedniego. Większość towarzystwa mija miednicę spokojnie i szczęśliwie, paru jednak specjalistów krzywi się brzydko od pocałunku gąbki z wodą i mydłem. Nie mówi się jednak przytem nic upokorzającego. Przeciwnie. Biedny Hüeb, syn pasterza, taki kawał musi biec do szkoły z góry po kurzu i upale, a dziś jeszcze się wywró-

ci! Margot jest córeczką biednego kowala wdowca, nie miał jej kto uczać, a w kuźni tak trudno,—ale ty Rudi dlaczego masz takie brudne łapki i taki zasmarowany pyszczek, pewnie oszukałeś swoją Mutti (Mamę), zapewniając, żeś się umył?.. Rudi musiał rzeczywiście coś zmalować, bo się wcale nie usprawiedliwia, znosi z pokorą katusze ablucji i wyswieżony, z wypięknioną buzią staje w szeregu na swym miejscu. Wreszcie — miednica uprzątnięta, p. Marta wyprostowała rękawki, zdjęła mokry fartuch, dała znak i przeżegnała się, dzieci za nią i popłynął po klasie śpiew najprostszy: „Fater Unser“ na jeden srebrny głos dziecinny. Czy lubicie śpiew ptaka i dziecka? Ja nieznam na świecie nic piękniejszego, daj mi go panie słyszeć przy śmierci. Jest w tem dzwonieniu głosików dziecięcych jakiś kamerton z lepszego świata uniesień ludzkich, jest jakiś ton słodki, który najbardziej zgoryczona dusza słyszała gdzieś, kiedyś, bardzo dawno,—może nawet przed urodzeniem. Najszczytniej, najgoręcej śpiewają dzieci i ptaki rano, gdy świeżość ranka wchodzi w ich istoty ze zdrowiem i cudem życia, gdy zwróci się ku nim z powitaniem i błogosławieństwem dnia ich najpierwszy opiekun i nauczyciel — słońce promieniste i dotknie ich główkę różdżką złocistego pyłku. Tak śpiewały te dzieci w szkole,

dzieci narodu, który stworzył pedagogikę praw ludzkich.

Lzy gorzkie stanęły mi w gardle...

Kilkugodzinne zajęcia później dzieci w klasie polegały właściwie na nauce rozsądnego i pożytecznego bawienia się, przeplatane go śpiewem, tańcami, gimnastyką i ruchliwymi zabawami na powietrzu. Niebyły to jednak łapes capes wymyślane, kokietujące rozrywki dla zajęć rozwydrzonych bachorów, lecz systematyczne zajęcia, wykonywane ściśle według ułożonego z góry planu. Dziecko z patyczków, wykałaczek i koreczków budowało np. krzesło, starało się odrysować z profilu, z boku, przyczem ten ostatni rysunek uznano za odpowiedni do uprzytomnienia litery h i tłumaczono znaczenie liter.

Były gry takie, gdzie dziecko uczyło się dodawać swoich towarzyszy, ustawionych w koło—jak do kotka i myszki — po 2-ch, po 3-ch — potem odejmować, dzielić na grupki, liczyć te grupki i t. d. Była godzinka pogadanki, na której dzieci uczyły się poznawać rośliny najbliższe, gdyż kwitnące na sąsiedniej łączce. Usłyszałem przy tym bardzo piękną legendę o rumianku lekarskim, o maku, podziwiałem bardzo mądre miłe a proste wytłumaczenie dzieciom tego, że roślina żyje i że żyje nie tylko dla nich (dzieci) specjalnie,

a przede wszystkim dla siebie, dla swego prawa bytu.

Pogadanka z historii ojczystej i geografii kraju stanowi zwykle deser zajęcia całodziennego i składa się z odśpiewania piosenki z odpowiednim tekstem (np. Rüttilied), przeglądania doskonałych malowań historycznych, małej dyskusji z jednym dzieckiem o jakiegokolwiek cnocie obywatelskiej a propos tylko co usłyszanego faktu historycznego, wreszcie pokazania danej miejscowości (np. pola i jeziora Sempachu) na wypukłej z papier maché mapie Szwajcarii. Te ostatnie są w niektórych szkołach wprost znakomite. Można by nie tylko dzieci, ale i studentów uczyć na takich modelach geotektoniki, hypsometrii. Dziecko 8-10 letnie obchodzi się z taką mapą zupełnie swobodnie, określa strony świata, wskazuje wejścia i ujścia rzek z jezior, wyłomy i przełęcze, wyszukuje działy wodne i t. p. Podziwiałem i przygotowanie geograficzne nauczycielki. Panna Marta opowiadała ze swadą i tak treściwie, iż pomimo, że mówiła narzeczem, a nie po niemiecku, nauczyłem się od niej wiele.

Wogóle we wszystkim tem była zawodowa, porządna, na urząd robota,—nie było brylowania efektami i pomysłami, co wielu uważa za niezbędny dowód inteligencji nauczycielskiej, było sumienne opracowanie „dnia dziecka”, w którym znać było robotę wyższego na-

piecia — programu, uniwersytetu czy seminarjum. W szkic rysunkowy tej roboty panna Marta wkładała tylko metodycznie warunki dnia swoje i dzieci. Opowiadała mi później, jak kiedyś wyzyskała moment okrutnego znużenia dzieci i swego oczywiście — przy powrocie z jakiejś dalekiej wycieczki; — zaczęła opowiadać dzieciom o znużeniu gołębi skalnych i przepiórek w czasie ich wędrówek gromadnych. Słuchacze — oklapnięci zrazu zupełnie, tak się ożywili analogią ze swoim stanem, tak zaczęli sypać pytaniami („similia similibus curantur”) — dosyć drażliwemi wobec problematycznych naszych wiadomości o przyczynach wędrówek ptaków, że czempredziej musiała zwrócić pociąg ciekawości na boczną linię. Umiejętność wyzyskania chwili takiej mistrzyni fachu ze szkoły Pestalozzich i Froebliów przechodzi nasze wyobrażenie. Jej wychowanek nigdy się nie nudzi, prawie, że nie ziewa, a jeżeli go figlarny Morfeusz zacznie łechtać pod bródkę, to przychodzi i tak ładnie składa płowy łebek na kolanach swojej opiekunki, że aż zazdrość bierze patrzeć, jak ta smukła, blada panna w szarej bluzie robotniczej szybko rozwiązuje zagadnienia pedagogiczne.

W Szwajcarii nie całują się tak często przy byle okazji, jak u nas, dzieci cudzych nikt nie cmokcze dla pokazania wysokiego gatunku tkliwości duszy, gdyż nie jest to zalecone

ani przez higienę, ani przez obyczaj, niemniej przeto to, co my umiemy wyrażać tylko pocałunkiem, tutaj wielu urozmaiconymi sposobami umieją wyrażać silniej. Dziecko wybiega z domu na drogę, aby podać rączkę przechodzącemu proboszczowi, czy pastelowi, który go chrzcił, śpieszy prędko, aby powiedzieć piękne „Grässi” staremu bezrękiemu wojakowi z Armenhausu, co ma tyle krzyżów na piersiach, a jak się pięknie śmieje do swych Mutti, Păpil. Pamiętajmy, że to kraj chłopów, których pieśszoty są inne niż u potomków feudałów. Niemniej przeto są tu dziewczynki dziwnie słodkie i wdzięczne, a chłopcy z zuchowatą rycerskością dystynkcji; chłopcy starsi, wyrostki zaczynają się robić podobnymi do ojców, stają się niedźwiedziowaci w miarę zbliżania się męskości—a borsuczej po 20-tym roku życia. Są wtedy ciężcy, sztywni, ciągle spoceni przy pracy fizycznej i umysłowej, mniej lotni od francuzów i niemców, ale umieją za to bajecznie pracować i uczyć się dokumentnie.

Szwajcarowie bądź co bądź są degenerantami, wyradzają się. Przez 400 lat najsilniejsza młodzież, najdoborowisi młodzieńcy szli na obczyznę zapierać szeregi gwardji szwajcarskiej. Taki żołnierz — najmita albo nie wracał już wcale, albo wracał jako kaleka lub chory, nieudolny do noszenia broni, wracał często dopiero na starość. Oczywiście zachowanie gatun-

ku pozostawione było wskutek tego braciom słabszym, marniejszym fizycznie, niezdatnym do wojska, — a że jeszcze w wielu miejscach wskutek braku komunikacji i łączności z innemi wioskami odbywało się pobieranie się w najbliższem pokrewieństwie—cioteczne lub stryjeczne, dobór płciowy więc w Szwajcarii zawsze wiele pozostawiał do życzenia. W kantonach wysokich odosobnionych (Glarus, Graubünden) liczba kretyńców, matolek jest tragiczną. To też jednym z silników pedagogiki szwajcarskiej jest obrona przedewszystkiem przed zwyrodnieniem. Dla tego to nacisk taki położony jest na wychowanie fizyczne, na rozwój tężyzny i samodzielności. Dlatego to w Szwajcarii zadziwia nas nietylko cnota rodzinna, ale i moralność publiczna, w której szwajcar widzi przyszłość swojej dziatwy.

Panna Marta, cytując przykłady złego wychowania, wskazywała w pogadance na jakieś dzieci ze wschodu, które rzucały we wróble kamieniami i pluły w wannę przed studnią, z której piją konie i psy. Taki gienjalny wynalazek naszych łobuziaków jak proca z rurek kauczukowych do strzelania do ptaszek, tutaj momentalnie przeszedł do muzeum pedagogicznego. Dziecko szwajcarskie już od urodzenia, bez wiedzy swojej należy do towarzystwa anonimowego opieki nad zwierzętami i ich dziećmi. Nie słyszałem nigdy w Szwajca-

ri (przebywałem tam dosyć długo z kilku powrotami) skowytu psa lub miauczenia kota przy rozrywkach dzieciennych, ale nie słyszałem też i płaczu niesprawiedliwie karconego dziecka.

Jakże pięknie wygląda za to dziecko ciągnące razem z olbrzymim brytanem wózek z mlekiem lub jarzynami, jak serdecznie pieści chłopiec ciężkiego dużego konia pociagowego, który z tatką jego pracuje na wspólny obiad. Widziałem, jak koń zgrzany i spracowany podszedł do chłopca, syna swego gospodarza i nisko nachylił głowę, chwytając go lekko wargami za ubranie. Myślałem, że chce pieszczoty, on prosił o odpięcie mundsztuka i wędzidla, gdyż chciał się napić wody. Chłopczyk odpiął mu żelastwa, ale go do wody nie puścił, gdyż był zgrzany, zmoczył jednak w wodzie chusteczkę, czy gałganek i pracowicie przyjacielowi długo zwilżał nozdrza, co ten z widoczną przyjemnością przyjmował. Chłopczyk, rozkiełzawszy konia, trzymał go przytem tylko palcami za chmiza, koń gdyby ruszył głową — uwolnił by się od swego opiekuna i napił wody, — stał jednak — trzymany przez dziecko — posłuszny i cierpliwy. Obyło się to zupełnie bez jakichkolwiek wykrzykników tężyzny furmańskiej i — oczywiście — bez przekleństw, przezwisk i szturchań, tak nieodzownych u nas przy sporcie końskim. A że koń był perszeron wielki

a chłopczyk drobny, wątlý, — więc wyglądali razem jak lew i mysz.

Pies jest zupełnie poważnym członkiem każdej rodziny szwajcarskiej, — szczęśliwsza i godniejsza pozycja jego tutaj, w tej rodzinie, niż niejednego komornika czy ludzkiego członka rodziny u nas. Więc też i psy tutejsze mają inny wyraz, wygląd i dystynkcję, niż wszystkie inne na świecie. Jak nie kochać tego spracowanego, pocziwego Barry'ego — z wytartymi bokami od szlei, z wywieszonym od zmęczenia ozorem! Cały dzień ciągał wózek za swą panią, handlarką owoców, teraz oto ledwie zjadł napił się, odpoczął — bachory wsadziły go w wózek, robią głośną owację i wożą Barry'ego w jego własnym wózku po ulicy. A stary, wierny pies — ma doprawdy takie zacne, wesołe oczy jakby mu ogromną przyjemność ta trzęsionka sprawiała. Gdy chciałem go od zbytników uwolnić, obraził się i coś szpetnego pod moim adresem zawarczał. Jakże może dziecko nie być szczerem i dobrem z takiego Froheimu, gdzie jest taki zacny pies, taki pocziwy, potulny koń i takie kochane, a takie śmiałe wróble, które bestyjki same do rąk po okruszyny przychodzą, bo tak tu wszyscy są dla nich dobrzy!?

Oczywiście — szkoła wobec tego w wychowaniu tylko dopełnia dom, ¹wyświetla analitycznie zjawiska życia, ujmuje je w pewien

kształt myślowy, każe Hansowi i Trudzie zastanowić się nad dniem wczorajszym i samym sobie dokonać założeń i stwierdzeń na dzień jutrzejszy.

A czy wobec tego, co wyżej, mogą Hans i Truda mieć złe myśli lub jakiegokolwiek założenia ze złości, nie z dobra? Szkoła nie może być bardzo wyżej życia i społeczeństwa, gdyż jest ich prostym wykwitem, dlatego to absurdem jest imputowanie społeczeństwu, niezupełnie wysoko kulturalnemu wskutek zastoju dziejów, najsubtelniejszego typu szkoły cudzej. Ktoś do kogoś i dla kogoś musiałby wtedy zbyt szybko dorosnąć lub zmaleć, a to wątpliwe byłoby w skutkach. Co warta będzie praca wykwintnej, idealnej pod każdym względem szkoły, gdy dom stale trwać będzie na stanowisku wprost przeciwnem jej zasadom wychowawczym? „Nikt nie może być dość starannym w doborze rodziców!” — żartował sobie kiedyś Dickens. Marzył ten wielki myślący humorysta, wielki przyjaciel dziatwy bezdomnej, aby szkoła dobra zastąpiła jej dom, zastąpiła najgorszy gatunek opieki domowej, zastąpiła wszelkie „gatunki”, „terminy”. Dickens był synem wielkiej, bogatej, hojnej w dobroczynność, oddanej swoim poddanym Anglii i marzenie wielkiego pisarza Anglii nie wyszło poza obręb marzeń. Szkoła szwajcarska może wskazywać tylko drogę, po jakiej jej siostrzyce na wscho-

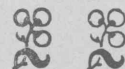
dzie i zachodzie dążyć powinny do stałej ewolucji, cechy własnej prawdziwej wartości i indywidualizmu narodowego. Wszelkie jej kopje, nawet najlepsze, będą miały — znaczenie tylko kopji, chomonta na krowie, siodła na piesku. Metoda czy system szwajcarski bez szwajcarskiego nauczyciela i szwajcarskiego domu rodzinnego jest absurdem. Szkoła szwajcarska jest szkołą ludową i szkołą ludu (jej naśladowniczki właśnie tego nie rozumieją), — ludu, który przeszedł twardą szkołę życia, zrobił sobie konstytucję z całej sumy konstytucji chłopskich i jako jeden jej paragraf ustalił potrzebę i model szkoły chłopskiej. Oni już przed 600 laty wiedzieli takie rzeczy, że człowiek łagodny jest mężniejszy i cierpliwszy od złoŹnika i okrutnika, oświecony i wykształcony goręcej, broni praw honoru i posiadania doczesnych od nieuka, i to, że człowiek mądry i dobry jest pięknym utworem Pana Boga i wart mieć ojczyznę. Myśmy mieli też kiedyś i w naszej kulturze chwile szwajcarskie, jak i w dziejach rozkwit na chwilę rzeczywistego republikanizmu — i dlatego dziś płaczemy, jak czyżyk stary z bajki.

Mawiał kiedyś Stanisław Staszic że „takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”, — myślę, że to nam należy rozumieć tak, że przez właściwe odpowiednie chowanie

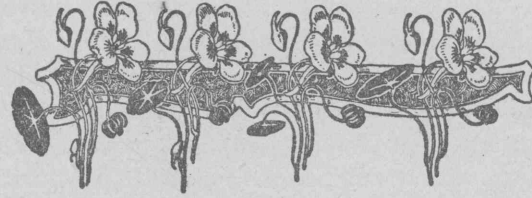
młodzieży dąży się do rzeczypospolitej Króla Ducha.

Jasnowłosa Sophili zakomunikowała mi dziś nadzwyczajną nowinę. Powiedziała mi ni mniej, ni więcej tylko to, że mnie kocha. Jest to tym więcej doniosłe, że Sophili ma lat 12, a ja całe 42, czyli że jestem starszy nawet od jej tatusia. Gdy ochłonałem z pierwszego wrażenia tych oświadczeń, które — rozumiecie mię zapewne państwo doskonale — miłe polectały moje męskie wyobrażenie o sobie i nadzwyczajne zadowolenie z przyrodzonej urody i naturalnego wdzięku (mam biały bilet wojskowy, to znaczy w języku urzędowym „nikuda nie godzien”), zacząłem się dopytywać u Sophili, co ją mianowicie we mnie tak zachwycało. Sophili odrzuciła w tył swoje złote pukle z myślącego, wysokiego czołka, popatrzała na mnie figlarnie i jednym tchem wyrecytowała: — „Kocham pana za to, że jest pan brzydki, samotny, bardzo często jest pan smutny i zadumany, przewiązał pan chorą łapkę memu kotowi i karmi pan codziennie ptaki”, — a gdy zażenowany tem jeszcze bardziej, milczałem, Sophili ciągnęła dalej: — „czy wszyscy u was w waszej ziemi są tacy?”. — „O nie Sophili — odrzekłem — przeciwnie u nas prawie wszyscy są bardzo, bardzo ładni, jesteście słynnie pięknym

narodem, mamy takie piękne kobiety i takich zuchowatych mężczyzn, u nas rzadko kto jest smutny, jeszcze rzadziej zadumany, — u nas psy i koty nie mają przewiązanych łapek, bo u nas często bywa psie życie a psia krew płynie na każdym miejscu. Ja zresztą przy tobie Sophili nie jestem wcale zadumany, tylko trochę zażenowany”. Sophili włożyła czysty paluszek w buzię, patrzyła na mnie uważnie i nie wiedziała co mówić dalej. I tak się skończyły te jedyne w mojem życiu oświadczenia miłosne dziewczycy



Z ŻYCIA NATURALISTY.



Adiadomą powszechnie, a nawet bo-
daj że i społecznie jest rzeczą, że
szczenięta lwie chociaż rodzą się
ślepe, ale już od urodzenia mają
pazury, które im przez całe życie potem służą
do zapracowania na aforyzm, że „ex ungue
leonem poznaje się po ogonie”.

Janek Leszczyc od najwcześniejszych dni
swego żywota nosił przezwisko naturalisty i do-
prawdy trudnoby mi było odszukać w ma-
terjałach do jego biografji, czy na cognomen
ten zasłużył on sobie specjalną, przysłowiową
w rodzinie sympatją do wszelkiego „robactwa”,
czy tem, że zamiłowanie do dłubania w nosie,
kręcenia na własnej głowie w roztargnieniu ja-
kichś filutków i ogryzania dokładnego paznokci
nazywano popędem do studjowania własnej
natury. Zdaje się, że poraz pierwszy przy-
miotnika tego, czy określnika użyła dozorczyń
jego pani Bernardowa, gdy Janek w sposób
skandaliczny skompromitował rodzoną matkę.
Stało się to w następujący sposób.

Służba zaanonsowała matce Janka przybycie pewnej niezbyt sympatycznej dla niej sąsiadki, która w tym czasie urzędowała u siebie wielki bal na benefis swojej podrastającej córki i wiadomem było z góry, że przybyła specjalnie, aby na ten bal prosić starsze Janka rozeństwo i jego rodziców.

Otóż matka Janka, chcąc się od zaprosin uwolnić, wydała szybką, ciętą komendę „Tuśka! kładź się do łóżka i udawaj chorą, Staś owiż sobie gardło, powiem Alinie, żeście chorzy!”

Rozkaz matki wykonali wszyscy z pośpiechem, z wyjątkiem Janka, który czuwał długo przy dziurce od klucza i gdy zauważył, że sąsiadka już się dobrze rozgościła i prowadzi z matką jego ożywioną rozmowę, uroczyście wszedł do sali, założył rączki w tył i wyrecytował z dużym namaszczeniem już ode drzwi:

— A jak pani przyjechała, to mamusia powiedziała: Tuśka, kładź się do łóżka i udawaj chorą, Staś owiż sobie gardło, bo Alina przyjechała. —

Trzeba sobie wyobrazić miny pań, które w dekoncertacji zupełnej musiały wysłuchać tego monologu siedmioletniego „strasznego dziecka”. Prędko jednak wybuch śmiechu żywej, wesołej i rozumnej pani domu wyklarował sytuację.

Janek oprócz przydomka „naturalisty” od swej wychowawczyni nic ponadto nie oberwał,

ponieważ na wyrzut, jak mógł zrobić matce taką przykrość i po co nieproszony wlaźł do salonu, odparł:

— Matusieczko! przecież Matusia sama mówiła, że należy wszędzie i zawsze mówić prawdę, a jeżeli kto kłamie, to go poprawić...

Biedna Matusia wysilała cały swój spokój i pedagogiczne zdolności, aby Jankowi wytłumaczyć tę zawiłą sprawę z dziedziny etyki i moralności. Zdawało się, że Janek wreszcie pojął te subtelności, bo z wielką czułością, jak zwykle, matkę wycalał i wypieścił, a w kilka chwil wyszedł przywitać narzeczonego ciotki z jej własnym — ciotki warkoczem na głowie, upiętym w kształcie turbana i podczas, gdy właścicielka tej ozdoby damskiej rozbijała się, na gwałt jej poszukując, on ubawił jej narzeczonego do łez opowiadaniem, jak „sobie Cio-cia ten ogon czesze!”

Że zaś w międzyczasie pomiędzy tymi przypadkami raz zleciał z gołębnika, do którego dla odmiany chciał wsadzić dwoje kurcząt, raz tylko wykapał się z głową w sadzawce, którą pragnął przebyć w korycie od pojenia krów i raz również zepsuł stary zegar, kurant, pragnąc go nakręcić w kierunku odwrotnym dla usłyszenia Mazurka Dąbrowskiego od końca, rada familijna orzekła, że należą mu się t. zw. „wały” dla ogólnej przemiany źle krążącej w nim materii i energii. Decyzja osta-

teczna w tej mierze została sankcjonowaną ostatecznie przez ojca Janka, który już się był zakrzętnął za jakim giętkim cybuchem, czy prętem, gdy starszy o lat 10 od Janka brat jego Rafcio złożył zupełnie formalną apelację, że on Rafcio „był daleko większym hyclem niż Janeczek, a nikt mu do preparowania skóry się nigdy nie dobierał”, że on nie rozumie, za co ma być karany jego młodszy brat i chrzestny syn w jednej osobie, gdy ta osoba ożywiona jest tylko najlepszymi chęciami stałego dokonywania doświadczeń naturalistycznych, a jeżeli się one mu nie udają w zupełności, to tylko wina złego przystosowania, krócej mówiąc niesłychanego rozpieszczenia, w jakim Janek wraz z jeszcze młodszym od siebie Musiem vel Psilem, dla stałej rezydencji w psim koszyku tak zwanym, stale są utrzymywani.

Sprawa spadła z etatu i Janek, z godnością dopinając guziczki od majteczek, poszedł znowu zamećzać wszystkich dopytywaniem się nieskończonem, co to takiego jest hycel i dlaczego on, Janek, ten określnik tak często słyszy. Gdy mu wreszcie łapacza psów i jeneralnego uprząacza padliny pokazano, znalazł okazję do nowej krucjaty nieskończonych zapytań, po co on to robi, dlaczego, na co, jak i t. d., niemówiąc o tem, że sam przez 2 dni udawał łapacza i łapał na pętlę wszystkich i wszystko,

krzeselka, starego Pirata, kota Mruczysława, kucharkę Łuckę i t. d. i t. d.

Pogodne i słoneczne miał Janek Leszczyc niemowlęstwo i dzieciństwo. Był owocem miłości dwojga serdecznie kochających się ludzi, dla których niebo miało tylko uśmiechy, a ziemia pole do pracy nad własnem i cudzem szczęściem. Smutek rzadko tam gościł, a gdy się zjawił przypadkowo skądś ze świata, to go wyforowywano z taką owacją, że aż przypadał do ziemi przytłoczony i wylękły. Zasadą rodu Leszczyców było „sursum corda“ i „nos do góry”, wszyscy też mieli serca na wierzchu na marynarkach i na gorsetach, a nosy szlacheckie, duże, budynki jak się patrzy.

Pan domu przyszedł z Sybiru, gdzie za zbyt gorące przejmowanie się losami ziemi, woził parę lat ziemię w taczkach, pani domu w czasie owym służywała „ludziom z lasu“ jako telegrafistka, zajmowała się szpitalami, przechowywała zbiegów, rannych i tułaczy. On ją poznał na Sybirze z opowiadań ojca swego starego, którego ta pani ratowała w „peresylnoej turmie“ Petersburga od rzeczy gorszych, niż śmierć. Dzieci im się hodowały na chwałę i miłość, gdyż stale ich uczyli, że oni są z takiego wielkiego, spalonego, zniszczonego, opuszczonego przez wszystkich domowników, przyjaciół i wiernych dworu, do którego przez okna wybite wpada wiatr i hula po starożytnych

komnatkach, dziurami cisną się szczury, pająki i nietoperze, po kątach tuła się śmierć luta i smutek czarny, a w środku przy stole siedzi pani domu opuszczona, sama, jedna. Dla tej Pani i Matki trzeba mieć zawsze uśmiech serdeczny i duszę pełną ukochania, bo ona bardzo, bardzo nieszczęśliwa. Przez okna przychodzi jej wymyślać i bluźnić wierzyciele, zwolnieni domownicy, rezydenci godni i przytuleni tułacz, własne dzieci wreszcie, a szakale i hyjenty rozwłóczą z domu stare łachy, bandaże i resztki ojcowizny.

Aby dziatwa mogła być kiedyś niepodległą z ducha, państwo Leszczycowicze uczyli ją mieć w środku zawsze pogodę i potrzebę dobroci. Indygienat takowy rodu i dziedzictwa moralne wyrażone były ściśle w całej figuracji zewnętrznej naszego bohatera. Janek nie był ładny, miał okrągłą rumianą buzię, pełną najrozmaitszych dołeczków z okwiatem dzięcieliny, wesołe piwne oczy, patrzące w świat zaczepnie, figlarne, czasami i hardo i dumnie, gładkie czyste czoło pod wichrowatą płową czuprynką i ręce wypełnione w tętnicach wiecznym niepokojem i ruchem. Ciągłe musiały one coś skubać, drapać, dłubać, kręcić, ściągając na swego gospodarza moc nieprzyjemności i rozmaite zacyzny jego współczesnych dyzgusta. Oczy te i ręce nie umiały niczego ukryć, schować, nie-

potrafiły niczego wymienić na drobne, lub na liczmany wyrachowanego postępowania.

Bywały jednak chwile, że w tych oczach paliły się błyskawice gniewu, bólu i nienawiści, przechodziły ognie pradziadów szwoleżerów, a w małej klatce piersiowej serce tłukło się jak mały sokół w klatce. Janka chowano na poezji Goszczyńskiego, Sowińskiego, na melodjach religijnych Ujejskiego i ks. Antoniewicza, z którymi wcześniej i lepiej się zapoznał niż z Mickiewiczem pomimo to, że dom jego rodziców pełen był kultu przede wszystkim tylko dla tego wieszczka. Największe poświęcenie, największą determinację można była z Janka wydobyć obietnicą opowiedzenia mu czegośkolwiek z tej przeszłości, która na małego łobuza patrzyła ze staroświeckich mebli, szat, kurantów, obrazów, z pamiątek chowanych głęboko u Tatki w biurku. Rozdokazywany i żywy jak ogień młody malec potrafił wpadać w zadumę i zapamiętywać się na całe godziny tak cicho, że w domu zaczynała chodzić po pokojach obawa i strach, czy się kochany Janek gdzie czasem nie utopił, lub nie leży przyciśnięty jaką szafą lub kufrem, do których miewał czasem bardzo nadzwyczajne interesy. A on sobie siedział w tym czasie w ogromnym wolterowskim fotelu za biurkiem ojca i marzył zapatrzony na rozmaite wyroby katorżne z chleba, które stały na półeczce pod szkłem poustawiane, albo prze-

glądał po raz setny stare Tygodniki i Kłosa z ilustracjami wojny francusko-pruskiej Juljusza Kossaka, które to tomy oddane na pastwę jemu i Musiowi stanowiły ich najciekawsze i najpedagogiczniejsze „malowanki“. Stamtąd czerpał Janek najrozmaitsze pomysły heraldyczne i polityczne, jak np., że generał Burbacki (miał to być Bourbacki) napewno jest ich Leszczyców krewny, gdyż są oni Burbów krewnymi i często bywają na Litwie w Burbiszkach, że Lulu Bonaparte wcale nie zginął w Afryce, a zajęty jest organizacją w Algierze legji z samych Polaków złożonej. Co po tej główce zresztą nie chodziło, gorąco było w niej od życia, pomysłów, figlów i kombinacji jak w piecu, tak że matka często Janka kładła do łóżka w trwodze i pewności, że ma on już wysoką gorączkę, a to był tylko nowy pomysł wybawienia ojczyzny, który dogotowywał się w rozwichrzonej wyobraźni. Nie mając odpowiedniego towarzysza do zabaw, gdyż Muś, Psil, jako podobny do dziadzi „z bzucha“ — więcej uprawiał zabawy podłogowe z psami i inspekcję kredensu i spiżarni, niż wołania rycerskie starszego brata, Janek musiał przeważnie bawić się sam ze sobą. Przebiegał też pokoje w dziwacznych strojach i moderunkach z papierów i gałganków, walczył z portretami [przyczem w przepysznym Baciarellowskim portrecie Stanisława Augusta wybił dziurę

w napadzie rycerskiego afektu], zastawiał pokoje szeregami krzeseł, które mu przedstawiały żołnierzy, robił z wywróconych foteli armaty, a wszystkie laski ojca i cybuchy dziadka rozwłóczył po wszystkich pokojach jako karabiny własnej armji. Później, gdy był starszy, Janek najformalniej rozegrywał całe bitwy na stole tak, jak to czynią cesarze w dymisji lub wzięciu. Zabierał bratu młodszemu wszystkie jego klocki sześciany od łamigłówek i rozegrywał nimi jako oddziałami wojsk całe urojone, bardzo malownicze batalje.

Był w tych bataljach okres, kiedy armja prowadzona osobiście przez Janka zawsze musiała zwyciężać, po tym jednym tryumfalnym okresie nastąpił drugi, w którym armja ta stale musiała być pobita, wódz jej wykombinowywał przemyślnie i dowcipne rejterady, nadzwyczajne zasłony kompanjami całych dywizji i t. d. Stało się to po tym momencie z życia Janka, gdy się dowiedział od dziadzi, że najdzielniejszą i największą jest ta armja, która sto razy pobita, zbiera się po raz sto pierwszy i zwycięża, która na własnych przegranych uczy się bić i zwyciężać i uważa je zawsze tylko za doskonałą szkołę życia. Było to również akurat w tym samym czasie, gdy największym bohaterem dla Janka był zdecydowanie król Łokietek, gdy zaczął się zajmować zbieraniem starych monet razem ze starymi guzikami, gdy

przestał drzeć spodnie na kolanach, a zato przecierał je starannie na samem siedzeniu. W miarę rozrostu łydek i ramion budził się ogromnie serjo szlachecki instynkt do rozmaitych bojów i walk w obronie cudzych interesów. Janek, dosyć obojętny dla zwierząt domowych i leśnych zmienił zasadniczo swoje przekonania. Kiedyś bowiem, gdy wieczorną godziną odpoczywał w dziecinnyim pokoju po całodziennych harcach z chłopcami wiejskimi w zabawie w robójków, przez okno do pokoju wpadł kot z ptakiem piszczącym boleśnie w zębach. Janek kota w łeb kałamarnem, kot ptaka wypuścił i oblany cały atramentem uciekł w krzaki; ptak okazał się młodą ziębą, tak poranioną pazurami kota, że w kilka chwil na ręku Janka skonał.

Odtąd Janek wypowiedział śmiertelną wojnę kotom, strzelał do nich z tloweru, z łuku, a właściwie z silnie bijącej kuszy, kilku kotom życie jasne odebrał, kilku strzałą śmiercionośną srodze poturbował i smak do spaceru w promieniach oczu Janka odebrał. Kampanja ta powoli przeszła w okrucieństwo, im w Janku bardziej mężniał mały żbik.

Zaczął on w marcu smarować kominy na dachu walerjaną, którą kradł matce, i do schodzących się na mistyczne koncerty kotów strzelał nabojami z solą gruboziarnistą. To znowu, pojawszy zdradnie jakiegoś Milusia czy Fi-

lusia w onej porze kociego roznamietnienia życiem, przywiązał mu do ogona pęcherz suchy z grochem. Kot przez całą noc wyprawiał na dachu śmiertelne tańce, które przez kucharkę Łuckę i bonę Bernardową uznane były za szatańskie harce z okazji powieszenia się pewnego żyda koniokrada, nad ranem zleciał z dachu razem z pęcherzem i zabił się, a Janek dostał bez żadnej już tym razem apelacji w skórę. To go jednak nie uspokoiło, porobił długie dudy z papieru, wysmarował je wewnątrz jakimś tłuszczem i powkładał w końce małe kawałeczki mięsa. Dudy takie kładł na śmietnikach, lub w miejscach, gdzie żerowały wrony. Wrona, zobaczywszy taką dudę, kic, kic, — do niej, zagłada, widzi mięso, wkłada głowę, nie dostaje, — wkłada jeszcze głębiej, za mięso chwyciła, ale dudy z głowy zdjąć nie może, więc jazda na skrzydłach w górę z tym kapeluszem na głowie, zakołowała się w powietrzu, straciła równowagę i ośrodek — brzdęk! z góry o ziemię, znowu się zrywa, znowu kołuje, znowu pada, że ludzie postawiali na drodze, zanoszą się ze śmiechu, co to ten „hycel“ wyrabia. Sąsiad, pan Molski, restaurator, któremu Janek wypisywał na ścianie różne aforyzmy, mniej więcej tej treści, że „jakikolwiek losy Polski, zawsze gości truje Molski“, zażył tabaki i grubym, ochryplym (od herbaty!) głosem zdecydował, że „ten chłopak będzie wisiął“.

Janek podziękował mu bardzo grzecznie z wdzięcznym ukłonem za pamięć i w kilka dni wypuścił po cichu z klatki ulubionego kośsa pana Molskiego na wolność. Powoli stawał się osobistością, z którą ludzie poważniejsi obawiali się zaczynać dla dobra spokoju.

Szczególniej unikała towarzystwa Jankowego starsza od niego siostra przyrodnia Tuśka, bardzo egzaltowana i chimerna emancypantka szlachecka, gdyż łobuz ten nigdy nie zaniedbał okazji, aby sprawy zbyt poetycznie potraktowane przez siostrę przedstawić w należytem świetle pozytywnem ku rozbawieniu reszty rodziny. Tuśka po cichu np. pisywała wiersze, Janek wykradał jej kajet, uczył się całych ustępów na pamięć, później deklamował je przy stole z nadzwyczajnym patosem, dopytując się siostry, czy nie zna czasem autora strof:

„Ach! przez te kiry idę w lepsze miry!“ —

Tuśka przezwana przez Janka „błyszczącą nędzą“ dla ulubionego zwrotu retorycznego była jedną z wielu osób, które go nie znosiły fizjologicznie w sposób zdecydowany. Ze wszystkich złych duchów na świecie podobno najgorszym jest zawsze mały djabełek, figlarz, gdyż nie pretendując wcale na kradzenie dusz do piekła, robi im rzecz stokroć nieprzyjemniejszą, ośmiesza je swymi figlami. Jest on

tym nieprzyjemnym reaktywem na śmieszność, który się kręci po wszystkich kątach, który wszędzie jest w niewielkich swych ilościach rozlany, a zetknięcie się z którym wywołuje zawsze wielkie rumieńce zażenowania, przykreść konfuzji wśród homerycznego śmiechu innych.

Zaś irytacja i podrażnienie ofiar drażni jeszcze bardziej djabełka i do dalszych go dowcipów excytuje, gdyż wrodzona jego złośliwość jest pewną postacią prometeizmu w dosłownem tego słowa znaczeniu, również afektacja, dowcip i kombinacje żartów z bliźniego z wątroby jego silniej rozwiniętej, niż u innych dzieci, pochodzą.

Jest to, zdaje się, najbardziej zdecydowane osiedle temperamentu. U chłopców pozatym chęć dokuczania innym najsilniej się przejawia w okresie tężyzny, w tym czasie kiedy młody kot potrzebuje już myszy żywej dla wprawy w przyszłych łowach, dla przekonania się osobistego, czy jest już kotem dorastającym na prawdę.

Całe szczęście, że Janek zbyt łatwo przechodził od wycieczek przeciwko bliźnim na wyprawy przeciwko sobie. Z nauk religijnej matki, z opowiadań Łucki i Bernardowej o duchach i duszach wyprowadził sobie jeden poważny zupełnie nakaz, że on, Janek musi koniecznie djabła poznać osobiście i żeby go to niewiem co miało kosztować, on go

musi wziąć za ogon. Zaczął tedy namiętnie tego diabła poszukiwać, odwiedzał w rozmaitych porach dnia, a często i nocy wszystkie te miejsca, gdzie według wiadomości z kuchni i stajni, „coś straszło“.

Jedną z bardziej malowniczych wypraw w tym celu, była wycieczka nocna Janka z Musiem na cmentarz. Brat młodszy coraz bardziej zaczynał ulegać wpływom i deprymującej wyższości chochlikowej Janka i coraz bardziej zaczynał naśladować go we wszystkim, zaczynając od ruchów, gestów, sposobów noszenia paska czy czapki, aż po gusta i ciekawości. Muś nie zdawał sobie jeszcze sprawy z duchów i diabła, ale uważał, że skoro Janek musi go znaleźć, to i on powinien w tej wyprawie swoją męskość i ciekawość prawdy zaznaczyć. Korzystając z okazji, że rodziców i rodzeństwa starszego wypadkowo w domu nie było, dwaj malcy w suchą, mroźną noc grudniową, po cichu ubrawszy się w kożuszki, wykradli się z domu tylnymi drzwiami od ogrodu i przez ogród, park i leżący za parkiem laszek dotarli, aż do leżącego o półtorej wiorsty przy kościele starego cmentarza. Gdy zaskrzypiały wrzeczadze bramy cmentarnej, Musia duch opuścił i chciał zrejterować, Janek przypomniał mu złożoną przez niego przysięgę „na krew i ziemię“, co struchlałego brata nowem napełniło męstwem, albowiem wielka jest moc dewiz ry-

cerskich. Na cmentarzu, póki księżyc świecił, wszystko szło dobrze, chłopcy doszli do grobu rodzinnego, posiedzieli na nim chwilę, skontrolowali mocne bicie serc przy każdym szmerze podejrzanym w masach opadłych pod drzewami liści, — wreszcie dotarli do zamierzonego kresu, kąta samobójców i inowierców w końcu cmentarza, pod cieniem dwóch ogromnych sosen. Tu Janek wydobył kawałek gromnicy i pudełeczko zapalek i starał się ogarek poświęcanej świecy zapalić dla wywołania ducha z ziemi niepoświęconej. Duch się nie objawił, ale za to Muś z napięcia nerwów zaczął płakać spazmatycznie. Nie pomogły perswazje i nowe zaklęcia Jankowe, trzeba było wracać, — w dodatku z kostnicy jakiś bardzo wystraszony, starczy głos zaczął wołać „kto tu, kto tu, kto tam chodzi po cmentarzu“? — Zbudził się stary osiemdziesięcioletni grabarz Stanisław — dawny artylerzysta polski — zapalił latarnię i zaczął iść naprzeciwko chłopcom główną aleją cmentarza. Zmykać w bok nie było gdzie i trzeba było już pełnym frontem iść na spotkanie przeciwności. Można sobie wyobrazić zdumienie Stanisława, gdy zamiast spodziewanych złodziejów czy pijaków ujrzał przed sobą dwóch małych paniczów, zdumienie jego było jeszcze większe, gdy się dowiedział, że ci nieletni spadkobiercy dobrego imienia przyszli tu na spotkanie z „duchami“. Wziął jednego pod

pachę, drugiego za łapę i zaprowadził do proboszcza ks. Stanisława — przyjaciela rodziców chłopców, — który jeszcze nie spał, chodził po samotnej wielkiej plebanji i odmawiał pacierze. Dwaj starcy, dwaj Stanisławowie, proboszcz i grabarz nie tylko nie zgromili Janka, nie powiedzieli mu ani jednego słowa wymówki za nastraszenie, przerwanie spoczynku i ciszy, za nocne wtargnięcie do przybytku zmarłych, — ale przeciwnie przyglądali mu się z zamyśleniem i skupieniem, z pewnym jakimś uznaniem dla bezczelnie śmiałego chłopca. Gdy chłopcy ogrzali się gorącą herbatą i gdy zjechała mała bryczuszka księdza dla odwiezienia ich do domu, usłyszał Janek od proboszcza małą lekcję o duchach — i radę, gdzie i kiedy ma ich obcowania na ziemi poszukiwać, ale w tej radzie było już jakby małe uznanie, jakby potwierdzenie tego, że żeby z ducha pochodzące zobaczyć, trzeba mieć to, co już posiadał trzynastoletni Janek — to jest zupełne wyzbycie się strachu. Gdy siedział na bryczce, miał przyjemność jeszcze usłyszenia od grabarza, że w „tym hyciu jednak dobra krew płynie“. W domu też jakoś afera nocna przeszła płazem, rodzice późno, w kilka dni się dopiero o niej dowiedzieli, Bernardowa nie bardzo się chwaliła swoim słabym dozorem nad chłopcami. Zdaje się jednak, że ksiądz Stanisław miał o Janku poważniejszą rozmowę z jego ojcem,

gdyż do naszego bohatera zabrano się z większym animuszem pedagogicznym.

Janek dostał nauczyciela — był nim p. Frankowski, sojusznik jego ojca od bardzo ukrytych i tajemniczych kombinacji politycznych, właściciel tylko jednego wytartego surduta i pary równie nędznych spodni i butów. Tylko co był on powrócił z dalekiej Syberji i czekał na nową sprawę za sympatje dla Unitów. Było to uosobienie jagnięcej łagodności i dobroci, człowiek, który wcale nie umiał się gniewać, ale za to jakimś nadzwyczajnie miękkim i serdecznym wołaniem „Janeczku!“ umiał Janka umitygować momentalnie. Zapatrywania pedagogiczne pana Frankowskiego były trochę archaiczne, — Janek musiał powrócić do gęsiego pióra, do starych gramatyk i geografji katechizmowej, ale przybyło mu w programie zajęć dużo nowinek, przedewszystkiem pan Frankowski ślicznie sam rysował i powolutku zaczął Janka do tego kunsztu zaprawiać. Uczył go przerysowywać liście, kwiaty, gałązki, naczynia rozmaite, — potem kupił mu gruby kaset rysunkowy i namówił do prowadzenia w nim własnego pamiętnika rysunkowego. Janek musiał co parę dni zrobić jakąkolwiek ilustrację „z życia“. Były więc tam na początku dziecinne karykatury bezwiedne i humoreski, później usiłowania obrazowe, później krajobrazy stylizowane rodzajowe, wreszcie zu-

pełnie poważne studia kształtów i konturów na tle rozmaitych koncepcji pejzażowych, traktowanych miękkim ołówkiem soczyście i smacznie. Treść obrazów z działu kompozycji rodzajowej była bardzo urozmaicona w miarę posuwania się autora w lata, na początku były więc bitwy, wojny, potyczki, — konie na patykowatych nogach stały wkopane w ziemię, a na nich beznosi wojacy trzymali pod pachami kije przebite przez głowy wierzchowców. Później przyszły polowania, dzikie zwierzęta swoje i obce, kolorowane rozlewnie i uczuciowo brudną akwarelą, potem obrazy jakieś wysnzione ni to z tysiąca jednej nocy, ni z bajek Hoffmana, w których ciągle się powtarzał motyw postaci „głupiego Janka“ idącego z ptakiem przewodnikiem przez lasy, puszcze, zamierłe miasta. W trzecim roku nauki rysunków i prowadzenia takiego raptularza zaczęły się pojawiać na karteczkach bristolu... główki dziewczęce, czasami zupełnie kształtne i dziwnie podobne do główki jednej bardzo łagodnej i marzycielskiej Jadzi z sąsiedztwa. Była to już druga z rzędu miłość Janka, traktowana zresztą w sposób najzupełniej warcholski, gdyż z paniami swego serca obchodził się w sposób niewskazany przez trubadurów, poddając ich rozmaitym próbom moralnym i fizycznym. Osoba bojąca się strachów, nie mająca słabości do zwierząt domowych i niezapalająca się do dzie-

jów narodowych nie mogła bezwzględnie cieszyć się jego szacunkiem, a o ile niemniej przeto posiadała jego afekt męski, obowiązana była w najkrótszym czasie uleść przemożnym wpływom sympatii osobistych swego rycerza.

Ale jeszcze o jednym przedmiocie z kursu nauki p. Frankowskiego mówić mi należy. Pan Frankowski był z tych romantyków, poetów oręża i czynu, których dopiero zesłanie na Sybir zwróciło ku przyrodzie, ku temu, co z zamieraniem serca wyczytywali tam z pierwszych kartek pana Tadeusza. On swoje pojęcie piękna czerpał tylko z wzorów klasycznych literatury, a nad pięknością własnej ziemi nie zastanawiał się nigdy zbyt często, ufając, że dla tych uczuć gorących niema słów, ani porównań,—a analiza zbyt równa się profanacji piękna. Cudza ziemia—tundra i tajga zwróciły Frankowskiego — jak i tylu innych — ku doświadczeniu osobistemu, ku badaniu otaczającego świata i życia zabiegiem własnym, indywidualnym. Zwykle pierwszym impulsem ku temu bywała nuda, obrona przed apatią i zniechęceniem do życia, — później nowy świat pojęć i przemiana wyobrażeń przekształcały tak dalece gatunki ciekawości polskich zesłańców, że wielu z nich z poetów i marzycieli przemieniało się w zajadłych fizjografów Sybiru, organizujących po miastach wspaniałe muzea przyrodnicze i dających podwaliny całym nowym

gałęziom wiadomości o wschodzie. Jednym z takich był właśnie Frankowski. Zwrotowi w samokształceniu zawdzięczał on ukojenie psychiczne, odnalezienie samego siebie w ekspansjach ciekawości, wskrzeszenie wiary w rozmaite wartości ludzkie, — nic też dziwnego, że przyrodoznawstwo uważał on za rzecz wartą nauki. O pedagogice metod nie miał pojęcia; — po lekcji w nagrodę, za grzeczne sprawowanie się Janka wyciągał stary atlas kolorowany zwierząt Brehma (w tłumaczeniu Niewiadomskiego) i opowiadał Jankowi o tych zwierzętach, które widział osobiście, i to, co wiedział o nich dokładnie. A że w Mandżurji strzelał tygrysy u przerembli na rzece, a w Jakuckim kraju na niedźwiedzie chodził z rohatyną i siekierą, ponieważ miał swój czas w życiu, kiedy lubił śmierci wypatrywać po ciemniach i wykrętach, więc opowiadania jego miały światło pleneru, a farb mocnych rozlewność męską, — która w oczach jego ucznia zapalała błyskawice uniesienia i zachwyty. Nadzwyczajne epizody swojego życia opowiadał pan Frankowski głosem cichym, łagodnym, prawie kobiecym, wszystkie momenty swojej bajecznej odwagi i zdania się na łaskę losu sprowadzając do prostego zbiegu wypadków i szczęśliwego ułożenia się okoliczności. Nie było w nim nigdy ani odrobiny przesady, ani żdziebła chęci pokazania siebie w glorii rycerskiej. Później w życiu Jan-

kowi wypadało bardzo często czytać rozmaite opowiadania i szkice syberyjskie, w których autorowie zwykle fabułę opowiadania, a czasem i tło obrazowania podciągają i podmalowują do rozmaitych własnych subiektywnych autoportretów i zawsze wracał myślą do postaci swego nauczyciela nieskazitelnej w usuwaniu się wszędzie i zawsze na plan dalszy dla światła i jasności sprawy. Tą właśnie sztuką opowiadania epicznego najwięcej Frankowski rozpałał Janka ku doświadczeniu osobistemu, ku dostojności posiadania w życiu własnej treści i własnej formy dla myśli. Frankowski nie wdawał się w filozofowanie na temat cnoty, obyczajów, postępowania — opowiadał swemu uczniowi wypadki z życia — jak było, jak by być winno — i słuchał bardzo oględnie i wyrozumiale jego własnych wniosków i sądów. Janek zaczął budować sam własne opowiadania z tworów swojej własnej wyobraźni dla przedstawienia, uzwiérciadlania jakiegoś następstwa i skutku wypadków. Nerwowa jego organizacja i gorący nadzwyczajnie temperament — oczywiście — robiły to, że lubował on się w przesadzie, w płomienności barw i tonów, w mocy wypadków à la Victor Hugo, w gwałtowności stylu. Nie zyskało mu to wcale uznania w rodzinie, i opowiadaniom Janka wraz z jego poządliwością do przypadków nadzwyczajnych nie przyznano wcale praw obywatelstwa w kroni-

ce talentów i genjuszów rodzinnych. Odebrano mu Jules Verne'a i Mayne Reida, odebrano mu później prawie wszystkie powieści dla unikania ekscytacji warcholskiej wyobraźni, ale ponieważ wzamian jej za to na strawę codzienną nic nie dano oprócz zaostrożenia dozoru i postępowania, więc wyobraźnia małego łobu-ziaka zmuszoną została do spalania się samej w sobie—w swoim własnym cieple wulkanicznym. Janek—enfant terrible—stawał w miarę wyrastania i męźnienia w coraz większej rozterce z swoim domem z rodziną i to właśnie rzecz dziwna—zyskiwało mu przywiązanie jego nauczyciela. Równomierna pracowitość mało zdolnego Musia nie zajmowała go tak dalece, jak rozmaitość wybryków energii życiowej Janka. Często całymi miesiącami przedstawiał on się uczyć zupełnie i trzeba go było całą siłą wymagań i wpływów zmuszać do roboty, to znów rzucał się do niej nerwowo, z jakimś zachłystywaniem się pożądlivości roboty. Była w tym duża muzyka nerwów, w której pan Frankowski starał się widocznie uchwycić jakiś ton przyszłości. Powoli między nauczycielem i uczniem zawiązał się stosunek jakiegoś braterskiej przyjaźni, jakiegoś religijnej ufności ucznia w swego kierownika, któremu zwierzał się nietylko z grzechów śmiertelnych, ale nawet z dzikich pomysłów swej złośliwości i zjadliwości względem tych, kogo nie lubił.

W ten sposób uratowaną została rodzina i najbliższe otoczenie od wielu nadzwyczaj bolesnych w skutkach pomysłów i dowcipów wi- chrzyciela porządku i statku godziwego.

Jednej nocy pan Frankowski zniknął niespodziewanie bez pożegnania. Z wieczora dostał jakiś list, który go zasepił i zamroczył, zamknął się swoim pokojem, do późna pisał listy, nad ranem wymknął się przez kuchnię z małą walizką w rękę i śladu po nim nie było. W kilkanaście godzin zjechała gromada żandarmów i policji, bobrowali, cały dom przetrząsali—bez rezultatu odjechali. Została Jankowi po panu Frankowskim jego własnej roboty mapa ziem polskich, długa pałeczka do wskazywania na niej z wyróżnieniami datami dni, w których Janek zwyciężył siebie, piękny wspólnie z nauczycielem zebrany zielnik i stary poplamiony jego atlas zoologiczny. Została Jankowi jeszcze jedna rzecz—jakaś bolesna, długa, własna, własniuteńka tylko tęsknota za dobrym, serdecznym człowiekiem, który w jego życiu odegrał rolę — piastunki wszystkich lepszych uczuć i pocziwych zbudzeń. Janek zapłakał gorąco i posmutniał ku wielkiej radości Tuśki. Na kilka tygodni odpadła go chęć jęczyczenia się zjadliwego i wyzwierzania się psikusami, na długo została mu pewna pomroka przy samem nawet wspomnieniu pierwszego nauczyciela.

Przyszedł niedługo drugi — pan Sołłohub, matematyk, pedagog pozytywny, ścisły, wymagający od ucznia i od siebie, poważny aż do bohaterskości, uczciwy i zacny, ale nie ujmujący i nie przyciągający. Musł pod jego wytrawną dłoń zaczął robić ogromne postępy i z dziecka niezdolnego i tępego przemieniać się w bardzo zdolnego i chciwego wiadomości chłopaczka, — Janek odpadał na drodze ciągle, zaczął nienawidzić arytmetykę i łacinę, dygotać z uczucia dla rozmaitych gramatyk, wypisywanych przez pana Sołłohuba własnoręcznie w czystych kajecikach i odbierać w dzienniczku strojne szeregi dwójek i pałek, których mu nowy nauczyciel nie szczędził. Znowu kilka razy zwoływano radę pedagogiczną dla rozpatrzenia sprawy Jankowej. Tuśka, która w tym czasie miała już narzeczonego i powołanie do uniwersytetu, była za tym koniecznie, aby Janek oddano do szewca lub ogrodnika. Te dwa zestawienia zawodów pozostały jej własną tajemnicą polityczną. Znowu Janka uratował Rafcio, który wytłomaczył rodzinie, że od takiego „ładaco“ nie można wymagać łada czego i należy mu przyznać pewne prawa osobiste w swoistem wyładowywaniu energii życia, która w Janku kotłowała się w sposób gorączkowy, jak w chimernym żrebaku i im więcej starano się ją ujarzmić i opanować, tym namiętniej broniła się ona od spętania. Niemniej

przeto pan Sołłohub przygotował Janka do gimnazjum doskonale i nasz bohater zdał wcale przyzwoicie egzamin i ani się obejrzał, gdy się znalazł na ławce 3-ciej klasy wśród 52-óch urwipołciów takiego samego jak on autoramentu — w nowem zupełnie półwiezieniem, pół-orlem życiu sztubaka. Na razie było mu źle. Zawadzały mu długie spodnie, które oblekł pierwszy raz w życiu, irytowała go pozycja bezwładnego, sołdackiego poddaństwa względem władzy szkolnej — zbrakło mu w klasie powietrza i słońca, które przez wychowanie na wsi nauczył się kochać i cenić. Powoli jednak zaczął się przystosowywać. Zręczny, dość silny, śmiały — nie dał sobie w kaszę dmuchać, w krótkości przeszedł fuksostwo nowicjusza, gdyż stare bursze w klasie przez skórę od razu poczuli w nim przyszłego herszta. Tak się też oczywiście stało. Janek wzorowy uczeń w pierwszych kwartałach, powoli wpadał w coraz większy deces ze stopniem ze sprawowania, siadywał w kozie tuzinami godzin i zasłynął chlubnie w gimnazjum jako łobuz niepoprawny. Wszelkie występy dowcipu publicznego klasy przez niego były oczywiście aranżowane z mniejszym lub większym smakiem, ale za to z ogromną w ukrywaniu reżysera starannością. Głównym obiektem prześladowań Janka był rudy, ślepawy z krzywymi nogami nauczyciel greckiego, zwany „Tiucha“, ponieważ w taki

sposób wymawiał rosyjskie „ticho”, —człowiek pocziwy i nadzwyczajny—jak to zwykle bywa przy pocziwości—niedołęga. Janek wkładał mu w kieszenie żywe myszy, chrabąszcze,—przylepiał do poły fraka bibułkowe skrzydełka, doprowadzał do ostatniej pasji nadzwyczajnymi zapytaniem i nieoczekiwanymi preludjami. Do takich należało np. złożenie uroczyste powinuszowania przez klasę z powodu przyścia na świat syna Tiuchy. Janek z dwoma dryblasami zawinęli poły od mundurów na podobieństwo fraków, założyli białe z papieru krawaty i uroczyste wystąpili przed katedrą: „Winszujemy syna panu profesorowi”!

— „To nie wasza sprawa” — („eto nie wasze dzieło“) odpowiedział rozniewany tym występem profesor — na wieczną wielkich słów pamiętkę.

Drugą ofiarą był prefekt zwany Pomidorem, prawdopodobnie dla dosyć dziwnego kształtu czaszki łysej jak kolano. Janek tyranizował go zabójczymi pytaniami z teologii, na które niezbyt biegły w dowcipie własnym i psychologii dzieci prefekt zawsze starał się znaleźć odpowiedź. Do takich morderczych zapytań należało np. zagadnienie, co się stało z rybami w czasie potopu, czym się żywił Jonasz w brzuchu wieloryba, na co Pan Bóg dał człowiekowi ślepą kizkę? — jednym słowem wątpliwości natury naturalnej, że się tak wyrażę

kwiecieście, wątpliwości odrazu kwalifikujące popydy ciekawości Jankowej w kierunku wątpliwym, a sposób zapatrywania jego na życie stawiające jako poważnie zaatakowany przez „niewiarę”. Od większych komplikacji z władzą duchowną broniła go protekcja księdza Stanisława i to, że Janek uczył się wcale przyzwyczajony, zmuszony do tego instynktem samozachowawczym. Nauka stała się dla niego pretekstem i kluczem do zachowywania przyzwyczajonych stosunków z ludźmi, mającymi prawo wyzysku i siły nad jego wybujałym indywidualizmem. Uczył się zresztą jeszcze, i po to, „ażeby starym zrobić przyjemność”, a właściwiej aby uniknąć ich żalu i pretensji do swojej osoby. Przyjemności nauki nie mógł zrozumieć. Gdy pewien zapalony filolog i historyk — jego nauczyciel łaciny w długiej filipice klarował o rozkoszach nauki i wiedzy, Janek zatrzymał go haniebnie niegrzecznie niewłaściwym pytaniem—dlaczego pan profesor przy słuchaniu lekcji używa klucza do autorów, który trzyma obok siebie na katedrze, uczniom używania takowego wzbraniając pod strachem wszystkich terrorów gimnazjalnych? Czyby nie lepiej było uczynić sobie rozkosz czytania Owidjusza czy Sallustjusza bez klucza? Filolog nie znalazł odpowiedzi i za to wsadził Janka na 3 godziny do t. zw. „ula“, z którego wyszedł

poemat o „kluczykach bakałarzy“, którymi „duch helleniski zwycięzko gospodarzy“.

Był czas, że uważany był nawet za jednego z lepszych filologów w klasie. Było to duże nieporozumienie, gdyż Janek nie uznający nigdy żadnej gramatyki, uchem, psim węchem domyślności językowej starał się odgadnąć intencje i myśli autorów,—intuicyjnie tylko doszukując się tego, co filologowie nazywali „duchem“ ludzkości w literaturze. Zresztą kochał się już szalenie i zaczął popełniać wiersze erotyczne jak np. „We wszystko wierz, co mówi ból—szarpnięta w sercu struna“... lubował się w wyrażeniach mocnych, homerycznych,—wpadł w bajronizm i wylewność formy, przestał mówić np. że go coś rozgniewało, gdyż skand sam przynosił mu na usta „i burza mi w piersi szalała włochatej“.

Zdolność do tego skand, muzykalność duża, dzięki której posiadał duże pojęcie rytmu, wreszcie rozwój filologiczny mowy i ucha zjednywały mu sympatię nauczycieli humanistów, obrażał ich jednak Janek dowodzeniem, że starożytnictwo jest dążeniem, aby w „umarłych laurów liść, z uporem stroić głowę“, że jedyną przyszłość mają te nauki, które dają rozwój osobowości, (zaczął czytać już Trentowskiego), doświadczenie osobiste i zasady do własnych poglądów na świat. Oburzał się na takie twierdzenia Janka nawet jego ukochany nauczyciel

Komar, złamany życiem i nędzą poeta i mędrzec prawdziwy, filolog z lepszego powołania ducha, uczący chłopców na lekcjach swoich łaciny w klasach wyższych wszystkiego, a przede wszystkim filozofii zastanawiania się. Komar chciał Janka koniecznie nawrócić na literaturę i językoznastwo, na dalszą służbę dobroczyńcom człowieczym z człowieka (tak on rozumiał humanizm),—Janek właśnie na złość Komarowi, poniekąd rodzicom po skończeniu gimnazjum zapisał się na wydział przyrodniczy, aby, jak twierdził, przekonać się, czy rzeczywiście jest jeszcze do czegośkolwiek zdatnym wbrew opiniom oświeconego ogółu. Komar odwrócił się od niego i obraził. Właściwie to jednak inne były przyczyny. Przewany w dzieciństwie dla swej rozpusty przez bonę „naturalistą“ Janek umiłował sobie to przewisko, jak wesoły piesek swoje wołanie. Nauczyciel Frankowski dał mu poznać piękno i poezję przyrody, Komar dał formę do jej ujmowania dla siebie,—życie polskie starego dworu dało mu umiłowanie nowych dróg i szlaków wśród złotych łąk, zielonych pól i łąk, wśród omglonych leśnych dalekich przestworzy ziemi, w której wszędzie jest pięknie, wszędzie tak swojsko.

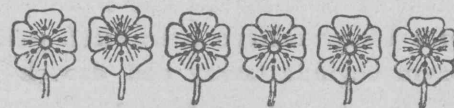
Satyryczny, zjadliwy i cięty Janek w gruncie rzeczy był poetą lirykiem,—kochał się w świtach i zachodach barwnych, dostawał

obłądu od czarów wiosny, halucynował w księżycowe noce.

I został naturalistą, aby całe życie tęsknić do literatury, albowiem takie jest przekleństwo, powołanie i stygmat jego rodu i jego pokolenia. Tyle jest słów Ewangelji co do Janka.



PIEŚŃ JESIENNA.



Patrzej! już ostatnie z drzew zlatują liście i zmarszczkami grudy ziemia się okrywa. Niemoc jakaś senna płynie uroczyście, kryjąc sny w тумany, łamiąc dum ogniwa“...

Ot! zerwał się z ust zwiotczałych jakiejs dawno słyszanej piosenki urywek, coś się w sercu rzewnego roz płynęło z tem marzaczem w powietrzu babiem latem pajęczem—a wszystko przez tę opalowo-złotą jesień polską. Złota ona przez niskie, złote i blizkie słońce, przez opalowość mgieł i tumanów o świtach i zmierz chach, przez złoty szum ziarna w sásokach, przez złotość obfitego owocu na drzewach. Wszak to pora plonów. „Plon nam niesie plon ten jesienny dzwon“, dla tej ziemi polskiej, w której lata głodne tak są rzeczywiście rzadkie. W pogodzie jesieni jest coś kojącego duszę rzeźwością wiewu i tchnienia przyrody, coś kojącego mądrością celów jej i przeznaczeń, coś zatulnego, czarodziejskiego, miłego płynie z o-przędów i mgieł opalowych, z tych tumanów świeżych swym chłodem, z tych wywietrzonych

szronem rannym osmętnie łąk i pól. Piękny jest obraz Piotrowskiego p. t. „Pieśń jesienna“, na którym boginka tańczy pod dźwięk pieśni koźleca na tle mistycznego nastrojem barw obrazu jesieni. Jest w tym obrazie bajeczny ruch—tańca jesiennego liści i ich szmeru łagodnego, jest—rzeczywiście — podsłuchana pieśń przyrody w glorii zachodu złocistego układającej się do zasłużonego spoczynku. Jest w obrazie cisza słoneczna i niebieska pogoda ducha, która przychodzi do nas na przedzimiu życia, gdy szron nam sumiennie a szczerze głowy ubieli, gdy w zmęczone pracę i kochaniem swego smutnego gniazda i swego szlaku serce zacznie się kłaść takie jakieś dobre przepracowanego, cichego życia rozmarzenie. Przychodzi wtedy zaduma kojąca dni w skwarze i zaduchu przeżytych, przychodzi słodka tajemnica nieznanego odpocznienia we własnym znużeniu rozwiłgłem,—przychodzi niesłyszana przez lat wiele nutka do uszu, przychodzi czar nieznanego do przepatrzonych, wyblakłych i przyciemniających oczu. O dobra złota jesieni! Jakże cię nie wielbić, nie czcić, nie miłować za twe oprędy, głosy i pieśni, za twe tło wzorzyste jak ze wschodniego dywanu, za twe szaty powłóczyście rzeczywistego majestatu. Tyś jest rzeczywistą duszy polskiej piastunką. Budzi się dusza ta z uśpienia, z ospałości, z koszmaru trwałego, który nazywamy życiem dla odróżnienia

chyba od letargów stałych ducha, budzi się i zaczyna mgłami z łąk soczystymi przecierać sobie oczy. A no przedzie Macierz Boża, — płynie z wiewem leśnym babie lato, sunie w oddechach powietrznych puch łabędzi, puchy ostów, popłochów,—paździerz się snuje i płacze wedle osiedli ludzkich,—a służki Boże pomagają: „Święta Regina mgły rozpina“—a „święta Urszula perły rozsula, księżyc widział, nie powiedział, słońko wstało, pozbierało“.

A górą płyną ptasie klangory i w światy dalekie wołania, po lasach się ostatnie echa godów jesiennych przewalają—jako te fale zapóźnione na macie wód księżycowych, na polach ostatnie głosy w mgłach rzedną — i coraz to ciszej i ciszej.

Zdaje ci się, że głosy zmiłkły w jakimś skupieniu, czy rozmodleniu, w oratorjum jesieni, krórem kieruje brzoza płacząca u drogi, co „drży w promieniach miesiąca i wzdycha“, wierzba—stara, stara starucha co „słucha życia ślepa i głucha“ — i osika smutna pokutnica. Cudnaś ty pieśni jesienna...

Była kiedyś wiosna miłosna, była—... Były uroki krwi rozbudzonej, mocy targniętej o rozdzienku, rozpętanej słońcem mocy, która sobie sama z ust wyjęła wędzidło. Było kiedyś coś mocarnego, zbójnickiego, a pięknego w tej wiosnie w moim środku ducha, coś się kotłowało, gotowało, a wybuchło warem w on przed-

nówek z wiosną, którą człowiek „tylko jedną miewa w życiu“. — Został się osad, namuł, zwar,—który lubimy w dnie pogodnej szarości jesiennej pokazywać jako klejnot osobliwości gatunkowej, jako własny stygmat i indygenat praw do używania dobrego imienia męskiego. Fanfaronada to pusta, gdyż człowiek często całem życiem swoim zamazuje, zaciera zajadle a starannie swoją pieśń wiosenną, dusi w sobie starannie wszystkie nutki skowronczane i wyplenia nać kwiatów słonecznych, aby mieć prawo do chlubienia się letnią dojrzałością prawdziwej rozważi i przemądrzałego statku. Zateśknią w nim za to marzenia wiosenne i zapłaczą kiedyś wymówką za zmarnowane lato rodne. Bo trzeba mieć w jesieni taką drugą wiosnę z ducha, trzeba wiecznie do wiosenki młodej tęsknić, aby w złotych blaskach jesieni, która jest tej wiosny serdecznem o zmierzchu życia wspomnieniem, znaleźć ukojenie.

Mój ci dom. Cisza. Zegar staroświecki, w kącie bladą tragicznie twarzą świecący, cyka równo, nudnie, monotonnie — a lampa ściela cienie długie, żywe, powłóczyście. W kominie wiatr jesienny jęczy i zawodzi jakąś bezbrzeżnie smutną opowieść o jakimś naderwanem życiu, o jakiejś niedosłyszanej przez nikogo tęsknocie;—to znów — wpadłszy z gwizdem między

metalowe części rusztu czy drzwiczek najwyraźniej nuci „Pieśń Solweigi“ Griega.

Mój ci dom,—szczęście w nim jasne, jak marzenie. Weszło niegdyś do mnie, lecz kiedy to było czy wczoraj, czy przed 10 laty—wspomnieć nie mogę, bo na przeszłość dni moich nie chcę, nie mogę podnieść zmęczonych oczu. Jakaś fala wspomnienia płąsa mi gdzieś po ścianach, po suficie, kładzie cienie chińskie na statki domowe, na ciszę moją i na szczęście moje.

Przy stole siedzi nad robotą żona. Igielka miga w jej białej, zręcznej dłoni, — a na jasną główkę kładzie się od wiszącej lampy złoty blask, który ciszy pokoju i zadumie mego przedwieczera daje roztęczoną jakąś mgłą marzenia. Zda mi się nucić pieśń eolską ta dusza rozkwitła w starowłoskim sadzie.—Lecz co to?.. Jakiś szum z ulicy przez usta nieme murów do nas cichy idzie... Czy słyszysz droga?.. Może to znowu widmo psyche-osmętnicy w czerwonym wstydzie hańby człowieka za krzywdy brata do nas znowu wstaje — i idzie!?!.. Eh! to krew znowu tętni w rozmarzonej skroni (samowar w kuchni nastawiony szumi). O! pokój mi w myślach, pokój mi w rozumie, gdyś ty przy mnie droga... Hej! tam na świecie pusto, nasze łyzy, szaruga — a u mnie tak jasno, cicho, lampa tylko ściela cienie takie ży-

we, powłóczyście — i wicher tylko w kominie pieśń jesienną dzwoni.

Ja przedziwnie teraz słyszę naprawdę, jak z tłumów i fal wody powierzchni powstaje samoistnie fala dziewiąta—Kalema — co przegubem swym zachłystuje lecące nad tonią ptaki i zakrywa całkowicie płynące wątle do brzegu łodzie rybaków. O falo—falo! Z morza wstają do niej szepty jakieś ciche, namiętne, gorące, jak szept modlitwy mnichów w zamkniętym w mroku staroświeckim Tumie. Dzwonnik jakiś stary sznury dzwonów płacze i płacze; co spróbował dzwony rozkołysać, to przerwał, bo sznury poplątał i znowu targa i szarpie się ze sznurami. I znowu dzwony załkały... O słyszysz—droga—słyszysz... teraz? Przywidzenie—w kominie jęczy tęskność—oczajdusza i wicher mazowiecki o smutnych pieśniach ziemi gada.

Czemu mi smutne niesie myśl marzenie, gdy do mego domu weszła wróżka—jasnolica, czemu mi smutno ciągle, gdy się do mnie w cieplej, zacisznej świetlicy śmieje serdecznie dobre życie, gdy już za nami w przestworzu pewnej niepamięci przepłakane noce i dzionki krwawe bolesne, gdy nowa mnie i Tobie — droga—świeci zorza na błękicie na nowe życie nam, na nowe moce?!.. Czemu ta cząstka mojej pieśni jesienną duszy zostaje tam gdzieś daleko, gdzie ta pustka, szare łyzy, szaruga, gdzie nad mokradłami szary świt w oparach

mgieł nie wstaje — i noc tam taka strasznie długa.

O słyszysz teraz?.. Leci pieśń zdaleka... Zawinął wicher djablim tańcem kurzawę liści złotych, czerwonych na ziemi,—zamiótł nimi szlak rozkiszłej drogi, uderzył we wszystkie drzewa poszumem boju i hasłem trwogi, zagrał wielką pieśń niepokoju i burzy, a chmury nisko—jak przewrócone schody—płynące ponad ziemią poczęły na niej słać wielką, potężną czarną barykadę! Weszła nad nią zorza czerwona, taka okrutnie czerwona, — jak moja krew, jak sny moje!.. Cisza dzwonna znowu mówi.

Niech huczą dzikie meły, szumy, pogwar, jęki (tęsknota w komin wpada, wichrem płacze),—gdy zbudzone w szczęsne chwile sny junackie wstają niedośnione, niedospiane. Cisza dzwonna mówi, że w ulicy nietylko pustka, szare łyzy, szaruga. Jasno tam jest tułaczce-Psyche, Chrystusowi potrzebna jest nocka długa. On chodzi tam po szańcach i wśród mroków, w spłakane dusze tam kojące ręce kładzie, gło-rietą błyska i konających w walce krzepi wiarą. W mój dom on wszedł już—wszedł razem z Tobą!..

O ciszo słodka, dzwonna! Znow zegar z tragicznie bladą twarzą cyka nudnie, monotennie, a lampa ścięła cienie powłóczyście, a igielka miga w białej zręcznej dłoni i na główkę jasną złoty blask się od lampy kładzie.

Zadzwoniły ostatnie klangory lecących na wyraj żorawi, zaniosło się powietrze niebieskie głosami wolności. Gdzieś wysoko, daleko w wyżach muślinów mgieł jesiennych rozniosło się głośne, mocne wołanie do lotu w sine dale, gdzie jeszcze słońce świeci letnie, gorące, gdzie żywie swoboda ruchu, przestrzeni i żeru wolnego. Swobodnie, lekko położywszy się na rozpostartych wdzięcznie skrzydłach, suną królewskie ptaki na południe, wołając głośno spóźnionych towarzyszków. Gdzieś z oczeretów stawu leśnego odpowiedział im długi, bolesny, targnięty jak ostatnia struna na skrzypcach ośleplego grajka,—głos rozpaczliwy ptaka, który nie poderwał się w górę, nie wychynął w powietrzne szlaki długą, szarą sylwetką, nie skoczył z ziemi w przestrzeń rozemgloną, opalową. Może skrzydło miał złamane, może pierś rozdartą, może moc i siła odeszła od niego w ziemię dla pohańbienia zbytnej hardości ducha...

Zakrzyknęły z góry raz jeszcze żorawie — „o pójdz, pójdz z nami!” — lecz z dołu odpowiedziało im już tylko milczenie i szum rokicin. Gdzieś na kępie samotnej wśród wody został się zapewne smutny ptak, — zamarł na jednej nodze stojący, położył głowę na zgiętej szyi, szyję na karku i patrzy zeszkłonym okiem, jak na niebie wchodzi w procesji przedwieczoru zorze złociste. Samotność jest stra-

szliwem cierpieniem, które duszę scaloną w jednym miłowaniu, w jednym dygotaniu pochutnem, rozkłada powoli na tysiące kawałczków jak kat chiński ciało delikwenta—, aby oczom schorzałym i zgorączkowanym niemocą uczynić codzienną przyjemną rozrywkę składania tych kawałków tak, jak to dzieci składają swoje klocki w domki, budowane bez żadnego planu, tak aby budować.

Moc stowarzyszenia w smutku i radości życia jest potęgą. „W szczęściu jednego są wszystkich cele”. Oto jak wesoło, mocno, potężnie zagrały w górze dzikie gęsi, nie pozostawiające widocznie na ziemi nikogo na pustkę i zapomnienie. Mają one w ruchach swoich pomimo ociężałego ciała pewien układ i dużą dystynkcję, którą znakomicie podchwycił znakomity skandynawski malarz przyrody Bruno Liljefors; jego to „dzikim gęsiom” literatura skandynawska zawdzięcza właściwie cały swój obecny zwrot serdeczny ku przyrodzie—fjordów i fjeldów na tle ogólnej radości życia. Dzikie gęsi w swoim gęgu nosowym, o tembrze barytonowym, wyrzuconym w przezroczyście przestworza nieba namiętnie, porywczo, gorąco — mają jakiś zew rycerski, wołanie rodowe do ziemi, jakiś ton surmy wojennej, ale nie na bój i spory, a na życie,—na życie gorące, mocne, waleczne i—piękne bajecznie. Ten głos gęsi dzikich—to żegnanie się z ziemią naszą pol-

ską na czas krótki do wiosny, to życzenia pogodnego zdrowia i pomyślności dla niej, albowiem pięknie jest żyć latem na jej łęgach i mokradłach, dobrze się tu dzieci łęgną i wywodzą, żer jest tu wszędzie i noce są wonne, ciche. A więc bywaj ziemio dobra do wiosny!..

Gdzieś wśród ramion wysokiej topoli polskiej — osokory załkał i załopotał puszczyk, cmentarzy śpiewak. Pogasły wszystkie zorze, położyły się do snu zmierzchy i smętne liljowe, wygładziła się i pociemniała zadumana toń wody i z opuszczonych pól przyszła Pustka, taka błędna, obłąkana pani w wieńcu zeschniętych kwiatów polnych, o szatach powłoczystych podartych, twarzy bladej rozpacznie — i poczęła się tulać i włożyć po schnących wrzosowiskach, po rokicinach i ścierniach, coś szepleniąc długo, nudno, smutne...

Kiedyś w czasy witalistów Kartezjusza, Paracelsa twierdzono, że są aż cztery gatunki duszy, przez którą, a raczej w której istnieje na ziemi życie. Rozróżniano więc duszę — mineralną, roślinną, zwierzęcą i ludzką w ich gradacji i włączaniu się wzajemnem dzięki spożywaniu minerałów przez rośliny, a roślin przez zwierzęta — aż do syntezy trzech gatunków duszy przyrody w najbogatszej duszy ludzkiej, która istnienie celowe minerału, rośliny i zwierzęcia

scala, jednoczy w sobie — w pewnej postaci naturalnej. W próbach witalistów rozwiązania zagadki życia, dzisiaj dla ludności tak często śmiesznej, była jednak ta rzeczywista, gorąca tęsknota prawdy, było to schodzenie do zagadek i przeznaczeń bytu kamyczka przy drodze, roślinki nad rowem, ptaszka w lesie, było szukanie prawdy we własnym czuciu, we własnej miłości przyrody. Wielką była ta miłość i pełny był ton jej pieśni tych ludzi, którzy wierzyli w doktrynę Zenona, że niczego niema w umyśle, coby pierwiej nie było w zmysłach („Nil est in intellectu, quod non prius flerit in sensu“), którzy siłę żywotną uważali za coś mistycznego, za piękną pieśń. Czyby tej pieśni pra-witalistów (są dzisiaj i młodzi neo-witaliści) nie można było spożytkować praktycznie, chociażby na profit naszego młodego pokolenia, które od wszelkich „sił żywotnych“, czy to witalistycznych, czy mechaniczno-pożytywnych coraz dalej się odsuwa? Oczywiście niema tu mowy o tym, aby młodzież karmić Paracelsem, Kartezjuszem, Treviranusem — bo oni mogli mówić i mówią zrozumiale tylko do swego pokolenia i do swego wieku, — ja bym to wyzyskał raczej jako podstawy zwrotu ku dziecku i ku przyrodzie, którymi tak się lubią chwalić rozmaite subtelne dusze. Rozkwiećmy w dziecku naszym duszę roślinki ciichej, zbudźmy w nim duszyczkę ptaszącą z po-

godnym zawsze świergotem rytmu życia, zadzwońmy młoteczką perkusyjną w jego duszę mineralną, aby z niej wydobyć prawdziwy odzew, czy echo czucia tej ziemi-matki. Gdy te trzy gatunki duszy przyrody zbudzą się w nim i rozwiną, łatwo go będzie prowadzić do syntezy, do scalania wszystkich głosów i czuć przyrody w nim bezpośrednio, aby się rozdzwoiła w wiosnie życia prawdziwie serdeczna dusza ludzka.

Przypomnijmy ile „poezji“, ile własnej pieśni jesiennej jest w hipotezach mędrców i uczonych. Leibnitz, otwierając zagadkę bytu, przypisuje siłę żywota monadom egzystującym od początku wszechrzeczy. Czemś w rodzaju koboldów czy gnomów z opowieści Hoffmana są te jego monady. Kant uważa życie za pierwiastek wewnętrzny ruchu, rozkoszując się tym rytmem, który stwarza Apollinowe państwo piękna. Życie, według naszego Jędrzeja Śniadeckiego, jest wynikiem pewnych stosunków fizycznych, zachodzących pomiędzy materią martwą a ożywioną, — z ożywienia organicznego idą impulsy w bezwładny masę pierwotnej. Dusza jest siłą, dźwięnią i kontrolerem ruchu. August Comte — wielki piewca pozytywizmu w filozofii — przyjmuje życie za proces podwójny składu i rozkładu, jednocześnie ogólny i nieprzerwalny, — coś w tym jest z pór roku rolnika i pasterza. „Życie to tworzenie“ — mó-

wi Claude Bernard, jakby przeczuwając, że Kartezjuszowskie „cogito ergo sum“ w 20-em stuleciu zamienionem zostanie na „ago ergo sum“. Trzeba prawdy życia koniecznie doszukiwać się w sobie, mieć własną wątpliwość — jako punkt wyjścia w dochodzeniu prawdy. Gdyby nie było wątpliwości, nie byłoby filozofji, ani nauk. Pobudkę do posiadania wątpliwości i ciekawości pierwotnej bytu daje człowiekowi wychowanie. Wychowanie to będzie tym głębsze i uczciwsze, im demokratyczniej, im prościej będzie człowiek pojmował swoją jednostkę i swoje zjawisko w łonie otaczającego go pięknego świata. On musi zdecydować kiedykolwiek koniecznie, że życie i świat są piękne, że jedynem pięknem, a raczej jego gienieżą, jest owa „joie de vivre“, najpiękniejsza w złotą, opalową, pełną półblasków i półcieni jesień naszego żywota. Wiedźmy do niej każdego, a zaczynajmy od dzieciństwa. Od wiosny rannej. Trzeba nie przyrodę przedstawiać dziecku, a dziecko przyrodzie.

Patrzcie, o drzewa kwitnące, patrzcie ptaszki boże — oto jest mały Jaś, który nigdy Wam nie będzie dokuczał, nie ułamię jednej gałązki napróżno, nie skrzywdzi żadnego najmniejszego istnienia, bom waszym spółtowarzyszem życia i pracy i waszym społecznikiem wolności.

Patrzcie owadki, — słodką pieśń w słońku wesołym gędzący ku chlubie dnia — to jest

dobra, zacna Janinka, którą Wam oto oddaje pod opiekę, aby jej w słońku nigdy nie było nudno, aby nauczyła się ona uszkiem chwycić melodje życia wszystkie aż do melodji snu dobrego włącznie.

Patrzcie, kwiaty majowe, rozkoszą bytowania wonnego dychające — to są Zosie, Manie, Jadwisie, Kaziowie, Stasie, Jasie, którzy do Was przychodzą po ten słodki nektar wiosny radosnej, jaki w przezroczach dusz pogodnych, nikogo nigdy nie krzywdzących, wiecznie żywie. Myślę, że takie przedstawienie niewiele zaszkodzi prawdzie, a ogromnie dobrze zrobi dzieciom. Ponieważ jakim Cię widzą, takim Cię piszą, więc od precyzyjnego przedstawienia królownie jej gości milusińskich nie powinien się odrzekać żaden ochmistrz, chciałem powiedzieć żaden wychowawca. Czyście czytali powiastkę Andersena „Kwiaty Idalki”?

Idalka pyta swego brata, studenta, poetę Alfreda, czy kwiaty mogą tańczyć i urządzać sobie bale? Tak Idalko — odpowiada on po chwilowym namyśle, kwiatki tańczą prześlicznie, a prawie co noc, kiedy my śpimy, wyprawiają sobie bale i bawią się wybornie” I pocóż Fredzio kładzie w główkę ukochanej siostrzyczce takie „brednie”, — czy po to tylko, aby się na nie słusznie oburzał stary radca, przedstawiciel rozsądku, statku i innych cnót w powiastce czy poto może, aby wywołać protest każdego

stateczniejszego czytelnika powiastki?.. Nie — Fredzio opowiada Idalce „bajkę” po to, aby ona miała w noc potem ten cudny sen o balu kwiatków, który, sam już będąc poematem, wstążkę (film) życia Idalki napewno na kolor lazuruowy zlekka nazawsze nam zabarwi, aby niebo od tej dziewczynki dobrej nie było zabardzo daleko.

Fredzio to robi na żądanie doświadczonego nauczyciela Andersena, który chce nauczyć wszystkie Idalki z całego świata, że nie należy kwiatków zrywać, układać w wiązanki, aby o nich w parę minut zapominać i pozwalać biednym męczennicom powoli umierać na suchoty, gdzieś na ławce, lub w kącie porzuconym. „Sznuj każde najdrobniejsze istnienie — mówi Andersen — miej miłość i współczucie dla każdej istotki, kochaj kwiatki — towarzyszki twojego piskącego życia. Miej dobre życzenie otwartej życzliwości dla wszystkiego, co ci bliźnie i blizkie, jeżeli chcesz, aby Cię otaczała przyjaźń, miłość i pogoda. Żyj Idalko wśród kwiatów, jak wśród przyjaciółek, dziewczynek, i śmiej się z tego, gdy Cię kto posadzi o czułość, o zbytni romantyzm literacki, o rozpoetyzowanie.” — Trzeba mieć własną ciekawość życia, która musi mieć znowu swoją własną poezję (pojezis znaczy tworzenie), a słusznie mówi Bokon, że rzeczy nowe może człowiek tworzyć tylko w sztukach pięknych i poezji. Czy jest

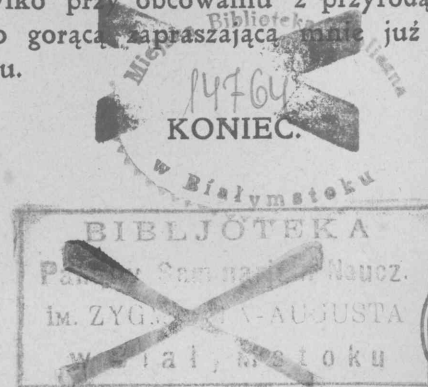
jednak taki człowiek (nie-matolek i nie-upośledzony wogóle), któryby nie miał takich minut w życiu, w których się poszukuje rzeczy nowych w sobie? Widywałem kiedyś człowieka obłąkanego, który ciągle powtarzał aż do znużenia wszystkim, kto chciał czy nie chciał słuchać, że „każdy człowiek na świecie ma swoją własną piosenkę”. Umarł przekonany najmocniej, że on jeden tylko na świecie został skrzywdzony, bo swej własnej piosenki od siebie nigdy nie usłyszał. Tak często życie w taki okrutny sposób obchodzi się z ludźmi i z ich tęsknotami do czegoś niesłuchanego, niewidzianego, że „niedosłuchana pieśń” własna jest motywem stałym całego ogromnego działu literatury.

Mnie się wydaje, że uznanie duszy przyrody*, jest już pewną podstawą do wychowania w sobie człowieka wolnego, niepodległego ugodom, wizjom, koszmarom, chęciom pasorzytnictwa lub słabościom niewolniczym. Drzewa, kwiaty, zioła, ptaki, owady uczą nas kochać wolność serdeczną, przekładać najtrudniejszą nawet walkę o byt nad niewolę, nad niewolnictwo Ducha, — uczą nas żądać śmiechu radości, bezmiar zachwyty, żądze pożądania, moc i postanowienia.

*) K. Chmielewski „Dusza przyrody.” Nakład Tow. Miłośn. Przyn.

Wypiełgnowana starannie i serdeczna duszna roślinna w człowieku mówi zawsze o wiosnie, o zmartwychwstaniu, dusza ptaszcą mówi o tem, że świat i życie trzeba zdobywać wesołością, pogodą, otwartem stawianiem kwestji życia i praw swoich po prawach bliźniego, dusza mineralna mówi, że złotu ideałów niewolno rdzawieć w odmętach zapomnienia, że kryształ decyzji i woli muszą być czyste, że prawość musi mieć twardość dyjamentu, a dobroć wosku, jeżeli chcemy, by nam na grobie napisano „tu leży duszy serdecznej zwłok ziemski, w wędrówce mocnej zwietrzały i rozsypany.”

Ja przynajmniej w swojej „pieśni jesiennej” proszę o to gorąco Przeznaczenie, gdyż chcę sam sobie być nauczycielem, a te chęci mi przychodzą tylko przy obcowaniu z przyrodą matką, bardzo gorącą zapraszającą mnie już do spoczynku.



14764